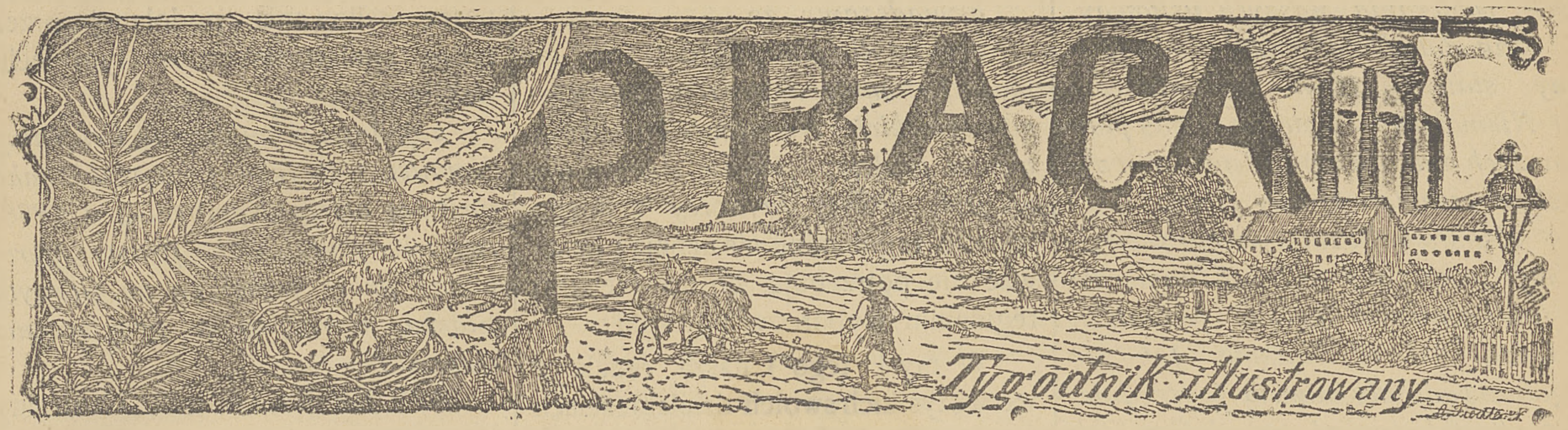
Nr. 40. Poznań, Niedziela 6-go Października 1901 r. Rok V.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; na poczcie w Austro-Węgrzech **1 kor. 73 hal.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,90 mr.**, w Austro-Węgrzech **2 kor. 30 hal.**, za Oceanem **1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Redakcya „Pracy“ —
— do swych Czytelników.

W ciągu lata rozszerzanie pism polskich szło bardzo opornie — bo w naszem społeczeństwie, niestety, zazwyczaj się tak dzieje, że każdy szuka tylko wymówki, aby módz się wymówić od zaabonowania pisma polskiego, gdy go ktoś do tego namawia. To też nasi przyjaciele nam zwykle w ciągu letnich miesięcy donoszą, że natrafiają przy werbowaniu nowych zwolenników na tego rodzaju trudności. Obecnie, gdy się już rozgościła u nas jesień z długimi wieczorami, łatwiej zachęcić do czytania: więc teraz redakcya nasza liczy na życzliwe i silne poparcie przyjaciół. Poparcie to nas nie odstępowało ani na chwilę przez tak różnorodne a trudne przejścia, towarzyszyć nam zatem nie przestanie i później, bo pismo nasze coraz bardziej zżywa się ze społeczeństwem, którego interesom chce służyć, a stosunki pomiędzy niem i jego czytelnikami coraz się stają zażylsze, bo utrwalają się na wzajemnym szacunku i wzajemności dążeń. My nieraz z listów szczerych, dobrych przyjaciół naszych widzimy, ile to cichej a użytecznej dla społeczeństwa pracy się czyni w kole naszych Czytelników; widzimy coraz częściej, jak wszystkie stany przejmują się zadaniem społecznem i w solidarnej obronie interesów narodowych szukają chluby i nagrody. A patrząc na to, czujemy się wdzięczni losowi, który nam pozwolił żyć i działać w czasach, kiedy można wokoło siebie zgromadzić grupę szczerze oddanych przyjaciół politycznych i wraz z nimi dążyć do oddziaływania na całe społeczeństwo.

Czujemy, że pismu naszemu jeszcze daleko do kulminacyjnego punktu w rozwoju, jakkolwiek tu i owdzie mieliśmy dowody, że wyrażone przez nas zdanie w kwestyach politycznych zdobywało sobie prym przed innemi, to jednak liczba naszych abonentów musiałaby się podwoić i potroić, abyśmy mogli naszą ideą solidarności we wszystkich sprawach narodowych opasać całe społeczeństwo i w walce z germanizacyą jednolitość mu nadać.

A zatem szerzcie „Pracę“ Przyjaciele i Zwolennicy nasi! Wszystkim jednakowo jesteśmy za poparcie wdzięczni. Dla nas równie jest miło, gdy pismo nasze się w lepiance lub chacie znajduje, jak i w pałacu. Od chaty — do pałacu, my wszędzie chcemy sobie zasłużyć na szczerą przyjaźń; pomiędzy chatą a pałacem, pomiędzy wsią a miastem, pomiędzy wychodźtwem a krajem, pomiędzy Górnym Śląskiem a Poznańskiem — wytworzyć tę nić łączącą nas w imię wspólnych narodowych usiłowań.

I przyznajemy to chętnie: wszystkie warstwy społeczne z jednakową gotowością popierają „Pracę“ i jednają jej zwolenników. — Niedawno gdyśmy po ukończeniu kwartału dziękowali publicznie wszystkim za usilną pracę w zjednywaniu nam abonentów, pewien robotnik z Westfalii napisał do nas list, użalając się, że nie wyczytał osobnego podziękowania dla robotników, jakkolwiek on sam i wielu innych „Pracę“ popiera i szerzy. Nie wiemy, czyśmy istotnie w danym wypadku pominęli w podzięce naszych robotników — ale to pewna, że składając publiczne podziękowanie za poparcie, w sercu mamy wszystkich i z jednakowem uczuciem zbliżamy się do

kmiotka jak do robotnika, lub mieszczanina, gdy tylko widzimy w nich chęć popierania naszych usiłowań.

Jak dotąd, zajmować się będziemy stale naszem wychodźtwem w Niemczech; na pierwszy zaś plan naszych działań wysuniemy w przyszłym kwartale Górny Śląsk.

Księstwu Poznańskiemu poświęcimy znów parę dalszych numerów z malowniczym opisem powiatów, wiedząc od czytelników, jak się ogólnie podobały numery poprzednie. Oto krótki pogląd na dalszy tok przedsięwziętych przez nas prac. Budowa domu dla drukarni w ubiegłym kwartale przerwała nam prace nad zapowiedzianymi numerami specyalnymi, teraz jednak już przystąpimy do wykonania ogłoszonego poprzednio programu.

„Praca.“

List otwarty

do Centralnego Komitetu wyborczego W. Ks. Poznańskiego.

Redakcya pisma naszego zaznaczyła już kilkakrotnie, że — działając w myśl żądań i intencyi swych czytelników — zamierza zająć się sprawą przyszłych wyborów na Górnym Śląsku. Zgodnie z tem, poczyniliśmy pewne kroki w celu zbadania terenu, na którym mają się odbyć przyszłe wybory. Zasięgnęliśmy informacyi u rozległego szeregu naszych czytelników na Górnym Śląsku.

Jedno z pism naszych, dowiedziawszy się widocznie z trzeciej ręki o tej wymianie zdań pomiędzy redakcyą „Pracy“ a jej czytelnikami, ogłosiło w artykule omawiającym stosunek Polaków do centrum, że „z pewnego źródła wiadomo, iż przygotowania wyborcze, już teraz się czynią.“ Ta uwaga wpływowego organu poznańskiego wywołała na łamach prasy centrowej odpowiedź, że *„dla wyborców górnośląskich miarodawczym jest jedynie regulamin wyborczy centrum dla Śląska z roku 1897.“*

Wobec tego w imieniu naszych zwolenników, jako grona polskich wyborców na Górnym Śląsku,

oświadczamy, że

regulamin centrowy z r. 1897-go może być miarodajny dla wyborców górnośląskich Niemców - katolików, ale dla polskich wyborców miarodajnym nie jest. Polscy wyborcy żadnego takiego regulaminu nie uznają i uznawać nie potrzebują, bo to nie jest regulamin wyborców polskich.

W myśl tego i nasza redakcya we wszystkich swoich działalnościach nie będzie się krępować względami na ten regulamin centrowy, bo on Polaków nie obowiązuje.

Ale sprawa poruszona przez pismo centrowe w innym kierunku zwraca naszą uwagę.

Wyznajemy zasadę legalności wszelkiej pracy politycznej wobec wybranych przez społeczeństwo władz i instancyi. Chcąc więc rozpocząć pracę przedwyborczą na Górnym Śląsku,

zapytujemy się niniejszem publicznie, czy i o ile jakaś instancya naszego, polskiego społeczeństwa, ma poruczone sobie kierownictwo pracy w tym zakresie. Jeśli istnieje taka instancya, upoważniona przez społeczeństwo polskie, chcemy poddać się pod jej kierownictwo lub z jej rąk mandat do dalszej pracy otrzymać. My o takiej instancyi dla Górnego Śląska nie wiemy. Górny Śląsk niema żadnej instytucyi, ustanowionej z ramienia społeczeństwa do zajęcia się sprawą wyborów.

Jedyną instancyą, która publicznie przyznała sobie prawo do zajmowania się przygotowaniem wyborów na Górnym Śląsku, jest poznański Centralny Komitet wyborczy. Komitet ten w odezwie swej z roku 1869 ogłosił, że

„uważa za obowiązek swój roz-
„szerzyć swą działalność i wciąg-
„nąć Górny Śląsk w zakres prac
„wyborczych.“

Jest to wogóle jedyne oświadczenie, wskazujące na — przelotne choćby — istnienie legalnych polskich władz wyborczych dla Górnego Śląska.

Chcąc pracować nad przygotowaniem wyborów górnośląskich, a przytem zgodnie z ideą solidarności obywatelskiej chcąc podporządkować nasze usiłowania podołanej przez nasze społeczeństwo w tym celu instytucyi,

zapytujemy publicznie Centralny Komitet wyborczy poznański, jako następcę owego Komitetu z r. 1868, czy windykuje sobie prawo kierowania pracą wyborczą na Górnym Śląsku, wyrażone w przytoczonej odezwie?

Jeśli tak jest, i jeśli Centralny Komitet poznański uważa się za władzę wyborczą polską i w obrębie Śląska, to prosimy o umożliwienie nam zdania poczynionych przez nas prac wstępnych w powołane do tego ręce.

Redakcya „Pracy.“

Poznań, 1. X. 1901.

Obietnica — a zapłata.

„Narodowość wasza uszczerbku nie dozna“ — tak mówił do Polaków przy akcie koronacyjnym w Królewcu jeden z królów pruskich, pradziad obecnego króla pruskiego, — gdy mu hr. Edward Raczyński w imieniu uciskanego przez system germanizacyjny społeczeństwa przypomniał, że wymiar sprawiedliwości nietylko jest królów łaską, ale i obowiązkiem.

Od tego czasu już ludność polska pod rządem pruskim zrobiła dosyć doświadczeń, aby poznać we właściwem świetle janusowe oblicze pruskiej polityki wobec Polaków, która jedną ręką kreśli nam uspokajające słowa, że narodowość nasza „uszczerbku“ nie dozna, a drugą ręką z iście krzyżacką nienasyconością zabiera nam wszystko, co nam zabrać może: obywatelom prawo publicznego krytykowania krzywd wyrządzanych, uczniom prawo uczenia się historyi ojczystej, dzieciom — prawo modlenia się do Boga w języku ojców.

Narodowość nasza czyż nie doznaje uszczerbku? Każdy z tych niechlubnych tryumfów, które świę-

ci obecnie nad Polakami system pruski, każda kara więzienna, każde zasądzenie, przecież to uszczerbek naszej narodowości!

W ciągu paru tygodni ileż to kar więziennych i pieniężnych posypało się na nasze społeczeństwo. Księdza Tyczyńskiego w Prusach Zachodnich zasądzono na więzienie za to, że niby to z ambony naigrawał się z rządu pruskiego; w Gnieźnie zasądzono księdza prob. Jaśkowskiego na 300 mk. kary za mowę na wiecu; tu wyrok srogi dosięga redaktorów polskich, jak pp. Piotra Palińskiego w Gnieźnie, pana J. Szmyta w Poznaniu, p. Buszczyńskiego w Toruniu (w ciągu 2-ch tygodni), ówdzie do więzienia idzie polski kupiec za brak niemieckiego napisu na szyldzie, ówdzie włościanin pokutuje za to, że wygłosił mowę na wiecu lub też za to, że przed sądem nie chciał zeznawać po niemiecku. Gimnazyastów więzieniem karzą za uczenie się historyi ojczystej, dzieci biją za niechęć do nauki religii w języku obcym, niemowlętom gwałtem chcą nadawać niemieckie imiona, żołnierzom zabraniają czytać gazet polskich, urzędników pędzą nad Ren, słowa polskiego nawet na liście prywatnym ścierpieć nie mogą, a przy tem wszystkiem powtarzają ustawicznie, że nasza narodowość uszczerbku nie doznaje.

A zaiste czemże jest uszczerbek najświętszych, najpierwotniejszych praw, jeśli nim nie jest takie np. zabronienie rozpraw w języku polskim, jakie widzieliśmy niedawno w Poznaniu na zebraniu robotników przemysłu spedycyjnego, Więc to nie „uszczerbek“ narodowości, jeśli nawet publicznie robotnik polski po polsku o swych potrzebach i krzywdach przemówić nie może?

I trzebaby doprawdy istną kronikę codziennych wypadków prowadzić, aby wykazać ten cały nieskończony szereg uszczerbków, które narodowość nasza wciąż ponosi.

A wszystko, co się przeciwko nam w Prusach dzieje, ma wyraźną, zupełnie planową, zgóry obmyślaną tendencyę. Tendencyę tę mimowoli odkrył prokurator pruski, który na rozprawie sądowej w Lesznie oskarżał wiecowników z Gostynia.

Dotychczas, zdaje się, nikt w prasie polskiej nie zwrócił uwagi na charakterystyczny ustęp mowy prokuratora, skierowany przeciwko mówcom wiecowym, specyalnie zaś przeciwko panu Koniecznemu, którego mowa tak jak kamień obciążyła pruskie sumienie sfer rządowych.

Prokurator otóż powiedział: „Lepiej by zrobił Konieczny, gdyby — jako mistrz szewski — pilnował swego rzemiosła, a w politykę się nie zapuszczał.“ *(„Am meisten ist Konieczny belastet, der besser gemacht hätte, wenn er als Schuster bei seinem Leisten geblieben, anstatt Politik zu treiben“).*

Pomijamy już całą iście junkiersko-pruską nietaktowność powyższego wyrażenia prokuratora. Panu prokuratorowi żaden paragraf nie daje upoważnienia do ironizowania sobie zawodu naszych współobywateli. Wara, panie prokuratorze, od natrząsania się z tego, że u nas „szewcy robią politykę“, bo i panu mógłby ktoś kiedy powiedzieć — „siedź pan w swoich aktach, a nie mięszaj się do polityki.“

Konstytucya nie rozróżnia prokuratora od szewca, a widzi w obydwóch tylko równouprawnionych obywateli do upominania się o krzywdy swego społeczeństwa. A zresztą nasi szewcy, którzy w swym cechu mają pułkownika Kilińskiego, dali już w historyi dowód, że nietylko chcą, ale i potrafią lepiej może od innych, być synami swej Ojczyzny i czuwać nad jej dobrem.

Lecznie chcemy się dłużej rozwodzić nad nietaktownością, zawartą w przytoczonym zwrocie mowy prokuratora, — bo w zwrocie tym prócz nietaktowności widzimy coś poważniejszego: oto widzimy tam, wyraźnie, jak na dłoni, *cały system pruski, przeciwko nam obmyślany, który na tem polega, aby każdego Polaka tak przygwoździć do jego zatrudnienia i zawodu, iżby się z niego nie została ani krzta obywatela kraju.* Możemy przejrzeć pokolei wszystkie stany, wszystkie zawody — a natrafimy wszędzie na tę samą zwrotkę, którą prokurator zaśpiewał panu Koniecznemu, odsyłając go do jego zawodu, a nie dając się mięszać do polityki.

Wszak ten sam system księżom naszym nie pozwala być obywatelami kraju, każe ich śledzić, czy nie rozdają elementarzy dzieciom — choć to przecież prosty obowiązek obywatela kraju; ten sam system w kleszczach trzyma urzędników Polaków, pozwalając im raczej być wszystkiem innem, *aby tylko nie obywatelem kraju;* ten sam system mówi przez usta landrata lub komisarza do naszych kupców: „Puść pan do licha tę politykę, jesteś pan kupcem, pilnuj interesu, co ci po tem, aby widniał szyld napisany po polsku nad twoim składem...“ Kupca więc odsyłają do interesu, rolnika do obory, rzemieślnika do rzemiosła, księdza do zakrystyi — a nikomu nie pozwolą *być obywatelem swego kraju.*

I któż to ma czuwać nad tem i stwierdzać, czy królowie pruscy dotrzymują wobec Polaków swego słowa? Któż to ma stwierdzić, czy „narodowość nasza uszczerbku nie doznaje?“

O, za pozwoleniem! Nasi polscy rzemieślnicy w niczem nie ustępują Niemcom, nasi kupcy również dobrze jak Niemcy zajmują się handlem, ale ponad zajęcia swego zawodu, są oni obywatelami swego kraju, wiernymi synami Ojczyzny, pożytecznymi i myślącymi członkami swego społeczeństwa.

Prusacy by chcieli naturalnie ogołocić plac boju z tych obywateli kraju i zamknąć jednych w warsztacie, innych w biurze, lub za kontuarem, lecz to się nie uda:

Nasza sprawa opiera się i stoi na tym właściwie drobnym a tak dobrze pojmującym swe prawa na-

ruszone obywatelu, a im bardziej polityka pruska będzie stała w sprzeczności z zobowiązaniami wobec Polaków, tem więcej pojawiać się będzie na widowni takich naszych polskich rzemieślników, którzy prosto z warsztatu spieszyć będą na wiec, aby lud polski oświecić o dziejących mu się krzywdach, o złamaniu królewskiego słowa......

I jak niegdyś Kiliński, który będąc szewcem, zasłużył sobie w obronie sprawy naszej na szlify pułkownika, tak i dziś w obronie tej samej sprawy każdy rzemieślnik polski, każdy kupiec, każdy rolnik polski, da Bóg, zasłuży sobie pomimo pruskiej wściekłości, na miano prawdziwego i pożytecznego *obywatela kraju*.

Vester.

Krzywdy ludności polskiej na Górnym Śląsku.

Krzywdy te — ach, któż jest w stanie je wyliczyć!

Spojrzmy na te ciche, piękne, tak liczne, a tak polskie wioski na Górnym Śląsku. Środkiem długiej wyciągniętej przez wieś drogi idzie gospodarz, jeden z tych, co czytają gazety polskie i kochają swój kraj polski ojczysty całem sercem. Biegną dzieci ze szkoły i wołają zdala do gospodarza: „*Gelobt sei!*"

A jego serce się krwawi z bólu, bo w całej jego wsi nikt słowa po niemiecku nie umie, a tu dzieciom już sześcioletnim dłoń obca tak układa języki do niezrozumiałych słów, aby wytworzyć wieczną zaporę pomiędzy ojcami i dziećmi. Syn gospodarski chodzi później do gimnazyum, rodzice ostatnią suknię z siebie sprzedają, aby go doprowadzić do celu, a on za to przenika się coraz bardziej zniemczeniem. Wreszcie składa egzamin. Czy myślicie, że to radość w wiosce, gdy przyjdzie nowina, że kilku z tej wsi złożyło abituryencki egzamin? „Ot — mówi sobie ze smutkiem jeden i drugi gospodarz po skończeniu gimnazyum idzie na teologa do konwiktu, będzie księdzem-niemczycielem i nawet do rodziny, z której pochodzi, się nie przyzna."

I to prawda. Wszak się i takie fakty zdarzały, że taki ksiądz, syn wdowy, co ostatnim wysiłkiem go kształciła, gdy dostał probostwo dzięki giętkości karku i znajomości z landratem zupełnie zmienił nazwisko i udawał, że po polsku już nie mówi, a o matce — rzecz straszna! nie chciał nic wiedzieć. A gdy staruszka czuła się bliską śmierci, chciała go przywołać do swej chaty, czy myślicie że odpowiedział na telegramy. Samotnie, na ręku obcych ludzi oddała staruszka Bogu ducha, a syn nie przybył, bo musiał jechać na polowanie z landratem, a potem mówił, że jemu, *als einem deutschen Mann*, trudno by się było przecież rozmówić z matką, co słowa po niemiecku nie umiała....

I ten ksiądz — germanizator, syn wyrodny i odpadły członek swego społeczeństwa, żyje dotąd i ubiega się o zaszczyty; lecz lud krzywdę mu pamiętać będzie i głęboko ją sobie w sercu zapisał. —

Gdy był ten 200-letni jubileusz pruski, w niektórych czysto polskich wsiach, gdzie wogóle nikt nie mówi po niemiecku, chcieli wprowadzić niemiecki śpiew do kościoła i dzieciom szkolnym pod wodzą nauczyciela kazali śpiewać po niemiecku. Ot, w takiej Miedźnie się to przecież zdarzyło. Ale parafianie dopiero swego germanizatora przywołali do porządku, bo słysząc niemiecki śpiew, zaczęli wychodzić z kościoła, — dzieciom i organiście na ten widok coś się pomięszało, jedne dzieci płakały, inne śpiewały, nie rozumiejąc co, organista grał w lewo, ksiądz śpiewał w prawo i zrobiła się solenna kocia muzyka na uczczenie 200-letniego jnbileuszu pruskiego.

Czy tego zgorszenia nie wywołał ksiądz germanizator?

A w miasteczkach germanizacyjny ucisk jest jeszcze większy. Miasteczka górnośląskie, w przeciwieństwie do wsi, są przeważnie zupełnie germanizowane i funkcyonują jako twierdze germanizacyi. Tu wielkie pole pracy dla polskich kupców, polskich rzemieślników. Kupcy i rzemieślnicy polscy z Księstwa, pamiętajcie, że tu, obok nas, Górny Śląsk tak bogaty, z tak polskim ludem, stoi dla was otworem, a wy emigrujecie na zachód, w głąb Niemiec!

Niemiecki kupiec, niemiecki aptekarz, niemiecki lekarz lub adwokat w miasteczku, obchodzi się ze swoją klientelą polską ze wsi, jak z bydłem. To też gdy się osiedli Polak, lud ciągnie do niego, choć zato w miasteczku samem każdy Niemiec wolałby skonać chyba bez lekarstwa i lekarza, lub zniszczeć zupełnie bez pomocy adwokata niż pomocy Polaka zawezwie.

Takie są stosunki. Ale miejsca dla Polaków w miastach dużo, a lud na wsiach polski. To grunt.

Górnoślązak.

Z blizka i z daleka.

W Górnych Hajdukach na Górnym Śląsku odbyło się poświęcenie nowego kościoła.*) Cała ludność polska — a napisy na festonach i girlandach na przyjęcie księdza kardynała Koppa były tylko niemieckie, zapewne, aby nie raziły dostojnych jego oczów.

A jednak przecież to dwie katolicko-*niemieckie* panny przy tych procesyach i obchodzie tak się zachowywały wobec księcia kardynała, że je policya musiała napisać na karę! Różnicę kultury odrazu widać.

* * *

Przed Izbą karną w Lesznie toczył się w zeszłym tygodniu proces przeciw panu Trawińskiemu, oskarżonemu o zohydzanie państwa pruskiego i władz pruskich za pomocą obrazu, wymalowanego na uroczystość strzelecką w Krzywiniu. P. Trawiński, malarz z zawodu, wymalował na obchód ten tarczę, przedstawiającą walkę czarnego orła z białym. Prokuratorya tarczę tę skonfiskowała. Akt oskarżenia podnosił, że obraz ten mógł się przyczynić do podburzania przeciw Prusom, bo tarcza miała służyć jako cel do strzałów, a więc uczestnicy obchodu strzelając do niej mieliby do wyboru orła białego i czarnego. Trybunał sądowy uwolnił p. T. od winy i kary.

* * *

W pismach galicyjskich czytamy: Pięknie spisała się młodzież szkolna tarnowska. Zjechała do Tarnowa jakaś nędzna buda linoskoczków. Jeden z personału, podobno sam „pan dyrektor", użył raz epitetu „*polnisches Schwein.*" Młodzież dowiedziawszy się o tem bez żadnych krzyków i kłótni, otoczyła budę i niedopuściła nikogo z publiczności, tłómacząc jej powód tego kroku. Wynik był bardzo skuteczny, bo „pan dyrektor" nie sprzedawszy ani jednego biletu na przedstawienie, nie czekając na dalszy wynik swej arogancyi, spakował czemprędzej swe rupiecie i wyjechał, aby swą obecnością i produkcyami uszczęśliwić inne miasta galicyjskie, które udzielają szczególniejszego poparcia zagranicznym darmozjadom i arogantom.

* * *

Pisaliśmy już kilkakrotnie o zamiarach urządzenia teatru germanizatorskiego dla Górnego Śląska. Obecnie prezes rejencyi donosi, że naczelny prezes Śląska zgodził się na uchwały miast i fabrykantów. Fundusz państwowy wypłaci 12.000 marek rocznej zapomogi, 17.500 mrk. mają widzowie (robotnicy) jako wstępne zapłacić. 6.000 mrk. płacą fabrykanci — a prezes rejencyi stara się o to, aby więcej fabrykantów przyciągnąć.

Dotychczas zgodzili się na zapomogę: Bismarkhuta, lipińska spółka hut cynkowych, królewsko-Laurahucka spółka i — jeneralna dyrekcya **hr. Ballestrema**. A więc hr. Ballestrem, poseł centrowy z łaski ludu polskiego na Gliwicko-Lubliniecki powiat do parlamentu

*) Patrz odnośną illustracyą. — Przyp. Redakcyi.

i na cztery powiaty obwodu przemysłowego do sejmu, łączy się przy tej sposobności otwarcie z najgorszymi hakatystami, jakich na Górnym Śląsku mamy.

Panie hrabio Ballestrem! a gdzie zasada: *Wahrheit, Freiheit und Recht?* Czy tą drogą chcesz pan uzyskać znowu mandat? Tego się pan już w życiu nie doczeka.

* * *

Poznańska policya skonfiskowała 22 kart pocztowych w witrynie firmy „Antoni Rose", zawierających reprodukcye znanych arcydzieł Grottgera z cyklu „Polonia", Lithuania", „Wieczory zimowe" i „Nieznane prace" i wytoczyła panu W. Chrzanowskiemu i pani Maryi Bartsch, która także je miała na składzie, proces o zbrodnię podburzania do gwałtów przeciw ludności niemieckiej. W uzasadnieniu oskarżenia powiedziano, że obrazki wystawione na widok publiczny, wobec wzburzenia, panującego wśród „Prusaków mówiących po polsku", są w stanie naruszyć pokój publiczny.

Proces odbył się w zaprzeszły piątek. Obrony oskarżonego podjął się adwokat Bernard Chrzanowski. W obronie podniósł, że obrazy Grottgera od kilku dziesiątek lat rozpowszechnione są po domach polskich na równi z mazurkami i polonezami Chopina, że w myśl poglądów pana prokuratora trzebaby zniszczyć całą literaturę polską, a może i „Polenlieder" Lenaua, Platena i Herwegha, zabronić reprodukcyi wielkich historycznych obrazów Matejki, mimo, że ich oryginały były wystawione w Berlinie, albo reprodukcyi przez cesarza Wilhelma II wyszczególnianego Wojciecha Kossaka, ponieważ malował sceny z walk Polaków o wolność. Do wszystkich tych dzieł i obrazów musiałby znaleźć zastósowanie paragraf 130 kodeksu karnego o podburzaniu do nienawiści klasowej i czynów gwałtu. — Mimo tej mowy obrońcy, nadprokurator wniósł o potwierdzenie konfiskaty i zasądzenie oskarżonych na karę pieniężną. Atoli trybunał wydał wyrok uwalniający podsądnych od winy i kary.

Tym razem więc nie powiodło się szanownej policyi wsadzić do więzienia tego „agitatora" Grottgera — przynajmniej zaocznie.

* * *

Z Ueckendorfu nadsyłają nam przyjaciele wycinki z gazet centrowych z całą zajadłością atakujące Polaków tamtejszych, a mianowicie zabroniony wiec Polek. Niech partya centrowa najpierw swe gazety moresu nauczy a potem mówi z nami o wspólnem poparciu przy wyborach.

Z.

Z TYGODNIA.

Poznań, 1 października.

Co raz to inne niespodzianki ukazują się na widnokręgu politycznym. A niespodzianką pierwszego rzędu było ukazanie się cesarza niemieckiego Wilhelma II na gruncie rosyjskim w Wysztyńcu, mieścinie żydowskiej nad granicą Prus Wschodnich położonej, której większą część zniszczył niedawno temu pożar ogromny. Zaraz po pożarze darował cesarz Wilhelm II na rzecz pogorzelców 10,000 marek, a car — nie chcąc być gorszym — wręczył za pobytu swego w zatoce gdańskiej cesarzowi niemieckiemu 5,000 rubli z prośbą, by tenże osobiście oddał dar ten mieszkańcom zgorzałego miasteczka.

I stała się rzecz niebywała, że obcy monarcha obcym poddanym wyświadcza przysługę niezwykłą. Z Rominten, gdzie cesarz Wilhelm przebywał w ostatnim tygodniu, udał się on konno do Wysztyńca i stanął na rynku, gdzie wkrótce zgromadziła się ludność miasteczka na wieść o przybyciu tak dostojnego gościa. Gdy więc zaludnił się rynek, cesarz niemiecki wygłosił mówkę w języku rosyjskim, wysławiając hojność cara, swego najlepszego przyjaciela. Po wzniesieniu okrzyku na cześć tego ostatniego i wręczeniu daru carskiego wójtowi, cesarz galopem objechał miasto i wkrótce znikł z oczu zdumiałego tem zdarzeniem tłumu żydowskiego.

Dzienniki różnie komentują pobyt cesarza niemieckiego na gruncie rosyjskim; jedne przypisują temu zdarzeniu wielką doniosłość polityczną, drugie widzą w tem tylko akt grzeczności bądź co bądź niezwykłej. W każdym razie była to niespodzianka dla świata dyplomatycznego, który przekonał się wreszcie, że przyjaźń osobista obu monarchów nie została naruszoną, owszem jeszcze się utrwaliła.

Przyjaźń monarchów nie wystarcza jednakże jeszcze, by pokój europejski można uważać za utrwalony. Czują to rządy poszczególnych państw i wszystkie swe siły wytężają, by wojna przyszła, która jest nieuniknioną, zastała armie jak najlepiej wyćwiczone. Rok rocznie odbywają się manewry celem przekonania się, czy armia odpowiada wymaganiom, jakie w razie wojny spełnić powinna. Podczas gdy armia francuska w tegorocznych manewrach odbywających się pod Reims w obecności cara, wzbudziła zachwyt swoją postawą w rzeczoznawcach, obroty armii niemieckiej w ćwiczeniach pod Gdańskiem wywołały krytykę wcale niepochlebną. I tak pewien pułkownik angielski, naoczny świadek manewrów pod Gdańskiem, ogłasza spostrzeżenia swoje w prasie angielskiej. Według niego stan armii niemieckiej tak jest lichy, że gdyby n. p. musiała walczyć z Burami, dawno już byłaby przez nich zwyciężona; ani artylerya, ani konnica nie odpowiada nowoczesnym wymaganiom strategicznym, a piechota zdolna tylko do „parademarszu."

Nie dziw, że krytyka taka nie przypada Niemcom do smaku, albowiem w aroganckiem ich mniemaniu armia niemiecka uchodzi za najlepszą na świecie, więc pienią się ze złości, krytykując nawzajem armią angielską, która od dwóch lat tocząc wojnę z Burami, nie zdołała podbić bitnego tego narodu. A prawda, że Anglikom coraz to cieplej w Afryce południowej. Burowie bowiem uprawiają w ostatnich czasach taktykę zaczepną, przenosząc widownię wojny na terytoryum nieprzyjacielskie — do Kaplandu i Natalu. Zamieszkali tam Holendrzy, poddani angielscy, podnieśli bunt przeciwko rządowi i łączą się z Burami. Nic więc nie pomogło ogłoszenie Kitchenera, że kto po 15 września schwytany będzie z bronią w ręku, zostanie rozstrzelany, owszem wywołało ono tem większą zaciekłość w przeciwniku, który ze swej strony podobne ogłosił *dictum acerbum* zastosowane do jeńców angielskich. Kitchener wiedząc, że najsurowsze rozporządzenia nie wywierają skutku na Burach, chciałby się zawczasu z honorem wycofać z afery. W skutek tego zaczął on drzeć koty z ministrem wojny, który zalecając mu większe umiarkowanie wobec Burów nie jest w stanie przysłać posiłków, jakich Kitchener się domaga, z tej prostej przyczyny, że ich nie ma. Kitchener poddał się podobno już do dymisyi, lecz rząd przyjąć jej nie chce, nie mając na razie odpowiedniego dowódzcy na jego miejsce. Jak zatarg ten się skończy nie wiadomo, to pewne, że Anglicy, mimo że dwa lata toczy się wojna, żadnych nie osiągnęli dotąd korzyści, przeciwnie ponieśli oni ogromne straty, bo utrzymanie 250 tysięcy wojska kosztowało ich dotąd setki milionów marek.

Wszędzie niespodzianki. Niespodzianką jest także wiadomość, iż Francya zgadzając się na zaciągnienie pożyczki przez rząd rosyjski w sumie miliarda franków, uczyniła to pod warunkiem, że Rosya pobuduje trzecią kolej strategiczną, prowadzącą z głębi kraju ku granicy niemieckiej, mianowicie między Bołogojami a Siedlcami.

Dotąd istnieją dwie koleje strategiczne — między Petersburgiem i Warszawą z jednej, a Moskwą i Brześciem Litewskim z drugiej strony. Trzecia linia ciągnąć się będzie środkiem i równolegle do już istniejących, skutkiem czego Rosya będzie w stanie w krótkim czasie rzucić ogromne siły na granicę niemiecką, gdyby zaszła tego potrzeba. Francya liczy się bowiem z ewentualnością wojny z Niemcami, a w takim razie wymaga, aby jej sojusznik, Rosya, doraźną mógł jej nieść pomoc.

Skoro Rosya przystała na żądanie Francyi co do budowy nowej kolei, zadokumentowała ona przez to silną postawę dwuprzymierza. Wobec tego czuło trójprzymierze potrzebę przypomnieć światu, że istnieje i przeciwdziała zapędom Rosyi i Francyi. Nadarzyła się sposobność po temu, bo ostatni batalion wojska niemieckiego, powracający z wyprawy chińskiej; wylądował w Tryeście, porcie austryackim, i udając się do Niemiec, wstąpił do Wiednia, by przedstawić się cesarzowi Franciszkowi Józefowi, który też w toaście wzniesionym podczas uczty podniósł z naciskiem istnienie niezachwianej przyjaźni austro-pruskiej. Politycy upatrują w tym toaście sankcyę trójprzymierza, które w r. 1903 zostanie odnowione.

Nie łatwo więc można się spodziewać wojny, której pewna część Francuzów wyczekuje z upragnieniem, by wywrzeć zemstę na Niemcach za rok 1870/71. My Polacy także wyglądamy jej w nadziei, że konstelacya polityczna na naszą obróciłaby się korzyść po jej ukończeniu. A że Polska ma prawo do bytu politycznego niezależnego, o tem każdy jest przekonany, który umie myśleć logicznie. Nasi najserdeczniejsi tylko są przeciwnego zdania i każde odezwanie się w tej kwestyi przyprowadza ich do wściekłości. Nie mało też psuje im krew przemówienie serdeczne Włocha A. Ungeherini'ego, wojaka za niepodległość swej ojczyzny, który z powodu kongresu republikanów włoskich, mającego się odbyć w Ankonie, nadesłał list otwarty do pisma „Lucifera“ i omawiając ideę obrony uciśnionej narodowości, kończy pięknym ustępem o Polsce:

„Między tymi narodami uciśnionymi jest w Europie jeden — ale nie jest on jedyny — który ocaliwszy cywilizacyę zachodnią, został za całą nagrodę wykluczonym z szeregu narodów, ujarzmionym mimo pomocy, jaką niósł obojętnym ludom i skazanym na więcej, niż stuletnie męczeństwo. Wiecie, jak się ten naród nazywa? Jeżeli nie obawiacie się zrobić nieprzyjemności Rosyi i dwom naszym przyjaciołom z trójprzymierza, powtarzając to nazwisko, to ja wam powiem: on się nazywa — Polska.

„Wy prawdopodobnie nie pamiętaliście już, że była jeszcze jakaś Polska na świecie; wyście wiedzieli tylko, że Poznań jest miastem pruskiem, że Kraków jest miastem austryackiem, że Warszawa jest miastem rosyjskiem. Nie, jest jeszcze Polska! Są ludzie, wiem o tem, którym jest wygodnie sądzić, że Polska umarła; do nich należy królestwo niebieskie, bo są ubodzy na duchu. Ja im nie zazdroszczę. Jest to kwestya gustów. Co do mnie, sądzę tak: Polska nietylko żyje, Polska powstanie jeszcze, ale nie dość tego — będzie ona jeszcze kluczem sklepienia nowego gmachu europejskiego, czy to się podoba, czy nie tym, którzy dziś w Europie robią pogodę i niepogodę.

„Stary Kato, ile razy przemawiał w senacie, kończył zawsze swoją mowę nieśmiertelnym: Delenda Carthago! — Karta ginę zburzyć należy. Dzisiaj już niema Katonów z tej prostej przyczyny, że rasa ich zaginęła i że zgasł ród wielkich miłośników prawdy: to też nie wymagam, abyście byli Katonami, abyście znaleźli w sobie ducha Katona i abyście budzili uśpionych końcowym okrzykiem mów waszych: „Restituenda Polonia! — Polskę odbudować należy!“

S. Wcz.

Przegląd prasy.

Nader miłe wspomnienia pozostawiła po sobie uczestnikom — wycieczka Górnoślązaków do Zakopanego w zeszłym miesiącu.

Z prawdziwie staropolską gościnnością przyjmowano ich wszędzie, a powszechne uznanie zjednało im to, że nasi Górnoślązacy w swych przemówieniach tak szczerze i prosto z serca mówili, z takim zapałem i uczuciem oznajmiali jednolitość narodową tej oderwanej od Polski dzielnicy z całym naszym krajem, że ani jedna chmurka, ani jeden fałszywy ton nie zamącił tej bytności Górnoślązaków u perły gór naszych. Za zasługę też poczytać należy kółku młodzieży, interesującemu się Górnym Śląskiem, a mającemu główną kwaterę w Berlinie, że nie zamąciło ono harmonii tego zjazdu żadnemi wewnętrznemi swarami i kłótniami, które tak niemile dotknęły i obraziły uczucia polskie patryotyczne podczas wycieczki Górnoślązaków do Krakowa, na Zielone Świątki, gdy to przed forum galicyjskie wyniesiono zarzuty przeciw „Katolikowi“ bytomskiemu.

Z wycieczki do Zakopanego garść wrażeń podaje **„Przyjaciel Ludu“**:

„Mam zamiar z powodu tej wycieczki zaznaczyć szczególnie jeden fakt, jeden jej epizod w Zakopanem jako bardzo dodatni, a mianowicie nadzwyczajnie serdeczne przyjęcie gości górnośląskich w Kuźnicach u hrabiny Zamojskiej.

„Gdy się widziało, jak panie noszące prawdziwie historyczne nazwiska i tytuły, zapisane na złotej stronnicy naszych dziejów — a nie kupione za garść złota na targowisku przekupniów, jak te panie, powtarzam, całowały na powitanie nasze górnośląskie wieśniaczki, to aż serce rosło z radości i łzy serdecznej wdzięczności kręciły się w oku.

„O ileż wyżej stoją te, co takie wielkie i chlubne noszą nazwiska, a nie wahają się uścisnąć twardej dłoni robotnika i ucałować jego żony od tej wątpliwej wartości, nic nie mającej oprócz długów i zaszarganych wspomnień własnego ja i niemożliwych fantazyi i zachcianek pewnej klasy naszego społeczeństwa, co z nikim ani mówić nie chce, a jeżeli mówi, to jakby z łaski — z wyjątkiem chyba wtedy, gdy chodzi o pożyczkę.

„I we wspomnianym fakcie mamy znowu dowód, że istnieje jeszcze tu nasza kobieta-Polka, kobieta, jakiej nie ma drugiej na świecie....

„Było 2 Niemców.

„Jeden poeta-szyderca, co wyśmiał i wykpił wszystko, a najbardziej swych własnych ziomków — Niemców, co poważył się nawet szydzić z Boga samego.

„A jednak ten Heine, ten poeta, co wszystko zmieszał z błotem, ukląkł przed Polką, przed jej cnotami, jej miłością ojczyzny, przed jej urodą.

„Drugi Niemiec to mąż żelazny, co znał tylko brutalną siłę i w siłę tylko wierzył, którego jedynem wyznaniem wiary była ta rada, że tęgie cięcie (mieczem) to jedyne na świecie prawo.

„I ten żelazny, co niczego się nie bał, jednak lękał się Polki; lękał się, bo znał ją dobrze, bo wiedział, że Polka to nigdy nie wygasły żnicz naszej narodowości.

„Panie w Krynicy pokazały znowu że kobieta - Polka nie zmieniła się, że taką jest, jaką była i taką też będzie.

„Paniom tym sława i cześć za tak serdeczne powitanie drużyny górnośląskiej, powitanie, które wszystkim uczestnikom wyryło się na zawsze w sercach — nigdy nie zapomniane.

„Zaczyna sie coraz to więcej spełniać ten „cud! z polską szlachtą polski lud!“

„Przełom zrobiony! gwiazda nadziei świeci, kiedy jasny pan w białym dworze czuje się bratem poczerniałego od pracy robotnika....!

„Nie zginiemy!“

Komuż z tych, co czytają piękne słowa powyższe nie stanie na myśli pewien fakt z kroniki dni ostatnich, *z życia naszych wychodźców?* W Ueckendorfie, we Westfalii kobiety nasze chciały urządzić wiec, aby na nim radzić nad zachowaniem dzieci przed germanizacyą: władza pruska zabroniła wieca. Kobieto polska, Ciebie się najgorzej obawiają następcy Bismarka, tak jak i on się Ciebie obawiał. —

Piękny opis tego wieca i wrażeń odniesionych w podróży po Westfalii skreślił pan Smólski w **„Kuryerze Poznańskim“**:

„Jedziemy elektryczną koleją na wiec polskich niewiast do Ueckendorfu pod Gelsenkirchen: redaktorowie *Wiarusa* pp. Brejski i Bieliński, ks Skimborowicz i ja. Z Bochumu do Ueckendorfu jest trzy ćwierci godziny drogi. W drodze spotykamy pp. Funtowicza, prezesa „Związku“, Goldjana, prezesa komitetu zwołującego wiec i kilku innych, którzy oznajmiają nam, że policya bezprawnie zabroniła niewiastom wiecowania w ostatniej chwili, starając się przedtem zniewolić właściciela sali, żeby nie dał lokalu Polakom. „Gościnny“ jednak jak tu nazywają gospodarza, czyli gospodnego, nie chciał się żadną miarą zgodzić na to, nawet, gdyby mu mieli zamknąć gospodę. „Przyrzekłem, dotrzymam“, odpowiedział krótko i węzłowato policji — „u mnie słowo jest słowem“. Rzadki to egzemplarz uczciwego Niemca, nie wchodząc w powody takiego postępo-

wania, które mogły wpływać z osobistego interesu.

„Wiadomość o zakazie wieca wywołała głośne szemranie i oburzenie u wszystkich. Wieść o zakazie udziela się napełnionej sali. Ogólny szmer i poruszenie. Słychać odgrażania się. „Niemcy zlękły się nas!“ — woła jedna z matek.

— „A jużci“ — odzywa się ktoś od stołu wąskiego — „nasze baby jurne, gotowe by pobić armię niemiecką“.

„Przy stole komitetowym pod sceną, do którego zaproszono i nas jako gości „z tak dzikich stron“, odbywa komitet wiecowy wzmocniony redakcyą *Wiarusa* naradę, co robić. Goliat żandarm i policyant w mundurze, stoją z tajemniczą miną w kącie sali. Ze wszech stron padają na nich chmurne spojrzenia. Co robić? brzmi po hamletowsku pytanie. Starszyzna radzi z książeczką ustaw w ręku. Są rozmaite zdania. Jedni są zatem, żeby wiec otworzyć i „niechaj sobie potem rozwiązują“. Cel będzie osiągnięty: ludność będzie miała jeden dowód więcej, jaką miarą wymierzają jej prawo. Wszak na tej samej „sali“ odbył się niedawno temu wiec kobiet niemieckich. Inni nie podzielają tego zdania. W takim razie byłby trud i koszta podróży tych, co przybyli z okolicy na darmo. Zakaz policyjny orzeka, że tylko niewiastom nie wolno brać udziału w wiecu, lecz odbycia wieca mężczyzn zabronić nie mogą. Argumenty za i przeciw krzyżują się ze sobą, w końcu zwycięża ostatnie zdanie, podtrzymywane przez redaktora Brejskiego, komitet wychodzi na estradę sceniczną, zasiadając przy jednym stole, przy drugim zaś obok, zajmuje miejsce władza rządowa, dwóch „pikelhaubistów“: żandarm i policyant. Podnosi się z siedzenia redaktor Brejski, zabierając głos: „Baczność!“, „baczność“! — wołają na sali. Oznajmia, że policya zabroniła polskim niewiastom wiecowania. „Boi się was, polskie matki!“ — woła z zapalnym naciskiem — „wielki naród niemiecki, posiadający 3 miliony wojska!“ Otóż prosi niewiasty dla umożliwienia odbycia wieca wogóle, żeby opuściły salę.

„Te z was, — powiada — które nie pozostaną w pobocznych pokojach, a pójdą do domu, niechaj nam tu przyszlą mężów. Żaden nie powinien zostać w domu, gdy chodzi o tak ważną sprawę narodową, jak opieka duchowna w języku ojczystym.“

„Ze smutkiem zaczynają niewiasty opuszczać salę: jedne wychodząc zupełnie, drugie gromadząc się w lokalnościach restauracyjnych, przylegających do sali.

„Zabiera głos przewodniczący komitetu górnik Goljan i woła grzmiącym głosem:

— „Chcieliśma z rodzinami naszemi poradzić się serdecznie nad opieką duchowną. Zabronili nam — (podniesionym głosem): — Niewiasto polska, odłączona od męża, powiedz w domu, co się tu działo. Nikt sobie na obczyźnie nie da wyciąć z serca najdroższych uczuć. Nie może być, aby Pan Bóg wykreślił nas z swojego serca. Kościół tutejszy przedstawia nam fałszywe rzeczy, bo rozkazuje nam, żebyśmy, będąc na obczyźnie, pozbyli się polszczyzny! Nie, my musimy zostać Polakami. Więc jeśli zabronili wieca Polek, to otwieram wiec Polaków.“

Barwny ten opis wieca, przy urządzeniu którego i nasz dzielny mąż zaufania p. Stanisław Kunz wraz z żoną się krzątał, — dokładnie nam maluje z jakiemi trudnościami walczyć muszą nasi rodacy na obczyźnie, aby się uchronić od germanizacyi. To też z Ueckendorfu najmniej z dziesięć korespondencyi otrzymaliśmy z opisami i protestami przeciwko zakazowi wieca. Naturalnie że i jedna z Polek nie omieszkała napisać dla nas korespondencyi. Artykuł ten jednak był napisany z takim temperamentem i siłą, że... drżyjcie ministrowie pruscy! — — Państwo pruskie by się napewno rozpadło, gdybyśmy ten artykuł umieścili. —

Dodajemy, że o zakaz wieca będzie proces wytoczony policyi. —

Wreszcie, aby słóweczko napomknąć i o stosunkach poznańskich, przytaczamy jako niezwykły dowód cudu i łaski boskiej, która serca najzatwardzialszych grzeszników kruszy, artykulik **„Orędownika“** chwalący — o nieba! — solidarność polskich instytucyi bankowych:

„Nie ma dnia, żeby gazety nie przyniosły wiadomości o jakimś krachu niemieckim. Po krachach w Lipsku i Dreźnie nastąpił krach banku Terlindena, świeżo wykazał się niedobór kilkomilionowy w banku w Heilbronn, we Wrocławiu Towarzystwo żeglugi straciło 3 miliony marek, wskutek gospodarki dyrektora Schostaga, który popełnił samobójstwo.

„Krachy te tak już w Niemczech spowszechniały, że budzą jeszcze tylko zainteresowanie w kołach akcyonaryuszów. Krachów mniejszych na kilka set tysięcy marek jest bez liku, tak, że już się z nimi oswojono.

„Pod wpływem tych krachów pewnie *społeczeństwo nasze straci zaufanie do banków niemieckich i lokować będzie swe kapitały w polskich instytucyach finansowych.*“

A kto swemi intrygami podrywał kredyt polskich banków? —

M. B.

Korespondencye „Pracy“ i listy Przyjaciół.

***Berlin**, 29 września 1901.*

(Specyalna korespondencya „Pracy.“)

(Zabawy i obchody Towarzystw naszych, a brak dogodnych sal. Hakatyzm właścicieli lokalów. Ujawniająca się coraz dobitniej potrzeba wielkiej sali w polskiem ręku. — Kasa chorych w Tow. katol. robotników polskich. — Utworzenie oddziału żeńskiego w Tow. „Sokół“ w Charlottenburgu. — Kościół katolicki w Zehdenick. — Wznowienie Towarzystwa polskiego w Hennigsdorfie.)

Za zbliżeniem się pory jesiennej rozpoczyna się w Towarzystwach naszych okres obchodu rocznic, przedstawień amatorskich itp. Wszędzie ruch! Na październik jest zapowiedzianych już 9 rozmaitych zabaw i uroczystości; poza tem na porę zimową względnie wiosnę wyznaczono już około 20 dalszych zabaw. Nasze Towarzystwa krzątać się muszą zawczasu, chcąc dostać odpowiednią salę — tak ze względu na powszechny w tej mierze niedostatek w Berlinie, jak i na trudności szczególne dla Polaków. U gospodarza niechętnego Polakom, nieraz objawiającego wprost w sposób zuchwały hakatystyczne usposobienie — a takich gospodarzy coraz tu więcej — trudno przecież odbywać uroczystości polskie; sale zaś właścicieli niezarażonych hakatyzmem nie zawsze odpowiadają rozmiarami potrzebom naszych Towarzystw. Toż na niektóre obchody przybywa po 1,000 osób, czasem zaś i przeszło półtora tysiąca!

Nie dziw, że coraz częściej dają się słyszeć ubolewania, iż niema w Berlinie dużej sali w ręku polskiem. Prywatny przedsiębiorca Polak, któryby mniej więcej na granicy centrum a wschodniej dzielnicy posiadał dużą salę z restauracyą, mógłby liczyć na powodzenie, gdyż miałby z polskich Towarzystw wschodniej i środkowej dzielnicy stałą kientelę. Może „Praca“, zamieszczając te uwagi, przyczyni się do załatwienia sprawy, od dawna już dla nas kłopotliwej.

Rozmawiałem niedawno z lekarzem, dr. St., osiadłym w dzielnicy wschodniej, i poglądy nasze w tem się zbiegały. Podziela je dużo zresztą osób. Takich, którzyby podtrzymywali jeszcze myśl budowy własnego domu polskiego z funduszów zebranych przez Towarzystwa, coraz mniej. Bo i trudno projekt ten, o którym kiedyś w „Pracy“ pisał jeden z jej licznych przyjaciół berlińskich, podtrzymywać dowodami przekonywającymi. Dom polski w środku miasta, gdzieby dla Towarzystw z postronnych dzielnic i z przedmieść najwygodniej było przybywać, kosztowałby conajmniej miljon marek. A utrzymanie? Jakże o funduszach ku temu potrzebnych nam myśleć! Dom zaś na dalekim wschodzie nie byłby praktycznym dla ogółu Towarzystw, bo zbyt oddalonym od dzielnic zachodnich. Przedsiębiorca natomiast prywatny, żyjący z Niemców i z Polaków, może się na wschodzie miasta utrzymać, pewnym będąc stałej klienteli swych ziomków.

Towarzystw we wschodniej dzielnicy Berlina jest dość dużo, i dość silnych liczebnie; przy obecnym stanie rzeczy zniewolone są nieraz zamawiać sale nietylko kilka tygodni lub miesięcy, naprzód, ale rok nieomal. I tak „Towarzystwo Obywateli“ zapowiedziało już dawno przedtem przedstawienie na koniec s i e r p n i a b. r., a „Tow. katolickie robotników polskich“ rocznicę przyszłą na 14. IX., wyraźnie — czternastego września — 1902 roku!

Towarzystwo wspomniane robotników, liczące przeszło 200 członków, największe z naszych Towarzystw musi być tak przezornem. Oczywiście, nie należy sądzić, że przezorność jego tylko w takich

rzeczach się objawia. Jest to chwała Bogu, Towarzystwo pod każdym względem ruchliwe i zabiegliwe. Niedawno utworzyło własną kasę chorych z osobnym lekarzem zaufania, Polakiem. Członkowie wstępujący do kasy opłacają w razie przyjęcia 75 fen. wstępnego i po 20 fen. składki tygodniowej, za co otrzymają w razie choroby po 9 marek tygodniowo na pewien dłuższy przeciąg czasu. Kasy ogólnej, proponowanej w roku zeszłym z łona komitetu, nie udało się założyć, z powodu trudności różnych, których usunięcie zbyt było mozolnem. Kasy chorych zakładane w poszczególnych Towarzystwach, silnych liczebnie, mają wszelkie widoki powodzenia. Za zasługę poczytać należy Towarzystwu robotników, że z uskutecznieniem tej sprawy się nie ociągało.

Miło mi donieść zarazem o innem nowem urządzeniu wśród polskiej osady Berlina. Oto w łonie Tow. gimnastycznego „Sokół“ w Charlottenburgu powstał w tych dniach oddział żeński. Zapisało się doń około 20 Polek, połowa ćwiczących. Oddział ten ma osobny zarząd, osobne posiedzenia. Ćwiczenia odbywać się będą raz w tygodniu.

W miasteczku Zehdenick w Marchii poświęcono w tych dniach kościół katolicki pod wezwaniem N. Maryi Panny. Katolików jest w miasteczku na 4,000 mieszkańców niespełna stu, ale w okolicy pracuje po cegielniach itd. około 2 tysięcy robotników Polaków. Dla nich to głównie zbudowano nową świątynię. Zasłużył się w tem dużo Dominikanin z klasztoru moabickiego w Berlinie, Ojciec Idzi, odprawiający na Moabicie nabożeństwa z kazaniami dla Polaków. Czy i do Zehdenick będzie mu wolno dojeżdżać, nie wiadomo. Uroczystość poświęcenia odbyła się po niemiecku — do parafian nie przemówiono w ojczystym ich języku! A dodać należy, że robotnicy polscy składkami swemi przyczynili się w połowie, jeśli nie więcej, do zbudowania kościoła!

Tow. polskie w Velten w Marchii (miejscowość słynna w Niemczech wyrobem kafli i pieców), podupadłe dwukrotnie, wznowione zostało niedawno i odżyło jako Towarzystwo polskie w sąsiedniem Hennigsdorfie. Członkowie Towarzystw berlińskich naprzemian dojeżdżać będą jako goście na każde posiedzenie w H., ażeby podtrzymać owo ognisko polskie. Szczęść im Boże!

J. K.

* * *

Z dolnego (niemieckiego) Śląska.

Szanowna Redakcyo!

Pracując przez dwa lata w tutajszych fabrykach poznałem jaknajdokładniej stosunki tutaj przybyłych Polaków i postanowiłem w „Pracy“ opisać, jak wiele cierpią ci nasi biedni Rodacy na obczyźnie.

Niemcy pomimo tego, że uważają się za ucywilizowanych, nie wierzą w nic, a Polacy dlatego, że chodzą do kościoła i modlą się, uważani są przez nich za głupich i zabobonnych, bo im się, według mniemania niemieckich robotników, cała sprawa nie rozjaśniła i nie chcą wierzyć w zdanie Niemców, że są oszukiwani przez księży. Polak wciągnięty jednak na odczyty wolno-religijne, wygłaszane przez różnych „ex-pastorów“, przestaje wierzyć i staje się „mądrym“, a przyszedłszy do innej fabryki już się do wiary swej i polskości nie przyznaje, i jeżeli go mowa trochę łamana nie zdradzi, to byt jego staje się dość znośnym. Następnie poznaje się nowy przybysz z różnemi dziewczętami na salach przy tańcu — żeni się i potem jest dzieło dokonane, już nie ma naszego Wojtka lub Franka, jest to już teraz „oświecony“ Niemiec bezreligijny. Naturalnie nie wszyscy Polacy poddają się prądowi wrogiemu, niektórzy, a mianowicie młodzi, którzy jakiś zasób miłości Ojczyzny z kraju sobie przywieźli, stawiają opór przez długi czas, lecz większa część z nich także ulega. —

Przyjemnie mi było, gdy się poznałem z kowalem w sile wieku, a bardzo dobrym Polakiem. Żona jego, także gorliwa Polka, mówiła mi raz: „Panie, w kraju, gdym była jeszcze dziewczęciem, wszystko mi jedno było, czybym za Polaka, czy za Niemca wyszła, ale dziś, gdybym jeszcze panną była, nigdybym za Niemca nie wyszła!“ Tak obczyzna i ustawiczna walka z Niemcami dopiero ją wychowały, a szlachetna jej dusza zamiast uledz, jak drudzy, zahartowała się. Niestety taka para jest białym krukiem na obczyźnie. Biedny kowal wiele od swych współrobotników znosi, a czasem zrozpaczony młot rzuci i ręce załamuje. W Saksonii wprawdzie przychodziło do bójek pomiędzy robotnikami Niemcami a Polakami i tak samo pewnie w Westfalii, ale gdzie nas mniej, tam musimy zaczepek unikać.

Podam jeszcze typy Polaka zniemczonego. Jedna część z nich wcale się do polskości nie przyznaje i udaje, że kwestya polska jest dla nich obojętna. Druga część przyznaje się, iż z Polski pochodzi, lecz stosunki nasze szykanuje, śmieje się z naszych wiosek, zarzucając nieład i głupotę Polakom, wśród śmiechu wszystkich robotników. Trzecia część jeszcze jest najlepsza. Zniemczony Polak, chociaż ma żonę i dzieci wszystko Niemców, lecz sam sobie dawne czasy błogie wspomina, polska gazeta jest w stanie go rozczulić. Możnaby z takich ludzi jeszcze coś zrobić, lecz niestety jest już zapóźno, nie ufają biedacy swej sile, nie wierzą w powrót do kraju, a po części jakiś tragizm się w ich życiu mieści. — Jeden z nich mi wyznał, że ma żonę Niemkę pijaczkę — dzieci i on prawie z głodu giną, bo cały zarobek żona przepija. Dalej mówił mi, że dawnoby od żony uciekł, ale kocha dzieci i ich mu żal. Jedyną jego przyjemnością jest, gdy w niedzielę lub święto może czytać jaką polską książkę, którą mu wypożyczam z naszej czytelni. Człowiek ten kocha swą przeszłość, lecz jest już w innych stosunkach, z których mu wybrnąć bardzo trudno. —

Także i innych rzemieślników polskich, jak szewców, krawców mamy wielu. Znam szewca, który tylko wtedy jest „dobrym“, jak się upije i na ulicy wykrzykuje „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Znam innego, któremu żona Niemka, jak przyjdę do niego ani mówić nie pozwoli po polsku i za niego rozprawia, ponieważ on po niemiecku prawie wcale nie umie, a po polsku mu mówić nie wolno. Szczęśliwym się czuje ten biedak, gdy przyjdę do niego, a żony nie ma w domu, wtedy mi wiele opowiada o tym szczęśliwym czasie, kiedy był jeszcze w kraju.

Towarzystwa polskie na obczyźnie nie rozwijają się, ponieważ katolicko-niemieckie „Volksvereiny“ odbierają nam wielu członków. Zwykle większa połowa Polaków stanowi taki „Volksverein“, a na czele zasiada ksiądz-Niemiec. Jednakże to nie uderza serca zobojętniałego Polaka, on chętnie idzie na ich zebrania, bo widzi księdza przy stole prezydyalnym. W Zgorzelicach są, jak prawie wszędzie na obcej ziemi, smutne stosunki kościelne, większa część kościoła jest przez Polaków-wieśniaków z okolicy Zgorzelic i robotników naszych napełniona, lecz mimo prośb — polskiego kazania nigdy nie ma. Lekceważenie wprawia w nas nieufność do księży, do których tak byliśmy w kraju przywiązani. Charakterystycznem to jest niemal we wszystkich Towarzystwach, że niektórzy członkowie są w ustawicznej bojaźni i strachu przed policyą i to ich strasznie gnębi. — Niejeden naprzykład odradza od wiecą polskiego, mówiąc, że jest bardzo od drugich zależnym i t. d. A któż u nas jest niezależny? Na początku przeszłego lata przyjechał pewien pan do Zgorzelic, stręcząc robotników dla jednej fabryki maszyn do Krakowa. Warunki były bardzo dobre. Nikt jednakże się nie zgłosił. Lud nasz dobrze zna stosunki w kraju, wie, co go tam czeka, każdy go może wyzwać, a tu ma wolność. Nie będzie on emigrował, gdy przemysł się podniesie i w kraju robotę znajdzie, lecz chlebodawcy i przełożeni musieliby się obchodzić więcej po ludzku — bo w innym razie nigdy lepiej nie będzie.

Silesius.

* * *

Magdeburg 1901.

Szanowna Redakcyo!

Położenie tutejszych Polaków jest mniej więcej takie same, jak i w innych miejscach, gdzie Polacy w większej liczbie zamieszkują. — Liczby dokładnej podać nie mogę, ale jest ich około 4 tysięcy stale zamieszkałych. Z pomiędzy tych można liczyć $^{1}/_{4}$ część rzemieślników różnych zawodów, którzy również pracują w fabrykach. Zarobek ich jest rozmaity, ale przeważna ilość ma się dobrze. Oszczędność jest prawie u wszystkich pierwszą podstawą bytu, trafiają się jednostki, które ciężko zapracowany grosz tracą, ale tych się nie liczy. Własnych przedsiębiorstw w rękach Polaków nie ma, oprócz szewstwa i krawiectwa — pierwszych jest tylko 4. Prawdopodobnie powodem tego jest to, żeby nie stracić zaoszczędzonego grosza, gdyż konkurencya niemiecka jest ogromną

Faktem jest, że Polacy użalają się przed księżmi niemieckimi na brak potrzeb duchowych i religijnych, a jaką odpowiedź otrzymują? *„Jeżeli nie macie tu zaspokojenia swych potrzeb religijnych, to poco tu przychodzicie? A kiedy już tu jesteście, to musicie się zastosować do tych, u których na chleb zarabiacie.“* Wobec takiego argumentu biedny ludek polski, który z ziemi ojczystej wygnany losem nieprzewidzianym (może niedostatek chleba, albo kolonizacya wykupiła mu tę ziemię z pod nóg jego, na której dziadowie i pradziadowie mieli swój pewny kęs chleba), idzie w te strony obce za lepszym chlebem doczesnym, a traci chleb wieczny, ten pokarm, bez którego żaden prawy Polak-katolik obyć się nie może. Zaspokaja swe potrzeby religijne, jeżeli jeszcze to światło wiary w sercu jego się pali, w języku niedobrze mu zrozumiałym, ale to światło powoli ciemnieje, bo nie ma takiego, któryby potrafił do gasnącego światła dolać oliwy. Wszystko obce — pasterz obcy — stado obce! —

W niektórych parafiach jest po dwóch, trzech lub i czterech księży nie umiejących ani jednego polskiego słowa wymówić, a parafian-Polaków jest dość pokaźna liczba. — Czemuby nie mógł być ustanowiony przynajmniej jeden kapłan, któryby znał język polski i w tymże pouczać i karmić nas duchu? Czyżby to nasze zdrowe zdanie miało być mylnem, że my Polacy katolicy mamy tak samo od Boga duszę jak i Niemcy katolicy?

W tej myśli, żeby rodacy tutejsi bez żadnej opieki nie błądzili i swe obowiązki łatwiej wypełniać mogli, zostało założone w roku 1892 dnia 16-go lipca Towarzystwo polsko-katolickie pod wezwaniem św. Jana Nepomucena, które w pierszych latach istnienia pięknie się rozwijało i liczyło już przeszło 120 członków. Niektórzy z nich dla zmiany miejsca i zatrudnień przestali być członkami. Obecnie liczy to Tow. 56 członków. Jest to bardzo smutny obraz w stosunku do porównania zamieszkujących. Towarzystwo to już wiele dobrego uczyniło na tem polu i mogłoby daleko więcej zdziałać, gdyby inteligentne osoby, których wszędzie garstkę znaleźć można, także do tego zajrzały, i ciepłem, miłem słowem zachęciły do łączności w Towarzystwie. Takich osób nie braknie, ale trudno czekać, kiedy nikt nie przyjdzie, więc brak sił odpowiednich. I brakowi temu powinny zaradzić osoby, o których jest mowa, pomnąc na nasze obowiązki, a gdy się energicznie zajmą, choć tylko częściowo, to ziarno to choć tak drobne przez nich wrzucone w porównaniu do gorczycy rozrośnie się i będzie drzewem wydającem dobry owoc. Prawda jest, że są osoby, któreby się chętnie w gronie naszem znajdowały, ale skrępowane są rozmaitemi przeciwnościami, jakie ich ze strony pruskiej spotykają, gdyż są zależne od urzędów pruskich. Ale ci, którzy są niezależni, ci panowie rodacy powinni się zastanowić i więcej się zajmować naszą sprawą, nie zdala patrzeć obojętnie, bo i na tej drodze można się naszej sprawie wiele przysłużyć. W roku zeszłym zostało założone Tow. polsko-katolickie „Jedność“ pod opieką Serca Jezusowego w Sudenburgu, młode to Tow. liczy członków 44, nie jest to liczba odpowiednia, ale jest nadzieja, iż z czasem członków mu przybędzie.

Wysłano prośbę do władzy kościelnej o kapłana znającego język polski. Prośbie tej władza dyecezyalna odmówiła i na tem się skończyło. —

Jest tu wiele Tow., a mianowicie: św. Szczepana w Gomrach, Tow. św. Barbary w Frellstadt jest rozdzielone na trzy części: Wiara, Nadzieja i Miłość, Tow. polsko-katolickie św. Jana Chrzciciela, Tow. św. Barbary, dalej jest Tow. św. Wojciecha, Tow. św. Piotra i Pawła, św. Stanisława, św. Franciszka Ksawerego, Tow. Sobieskiego i Tow. św. Idziego i św. Czesława w Jolingen.

Wojciech Garstecki.

Noc natchnienia.

(Z dziejów przeszłości).

Poglądam w niebo — a niebo ciche,
Patrzę na ziemię — a ziemia śpi,
Ona, co we dnie się miota w pychę,
Ona, co we dnie broczy się w krwi.
A teraz księżyc srebrną pogodą
Obrylantował rosisty wrzos,
I stoją senne wierzby nad wodą,
A wiatr leciuchny muska im włos.
Wonieje ziemia i płoną zorze...
Mój Boże — mój Boże!...

Wzlatuję w górę między obłoki,
Z jaśni błękitu pozieram w dół;
Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód,
Jak siwy gazda z otwartem sercem,
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód,
Puharem stoi jedno — drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

A na tej ziemi lud się położył,
Lew — co przed światem obraz trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył,
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego jako stal twardy
I w słońce wiary błyskał jak stal,
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy,
Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno, drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...

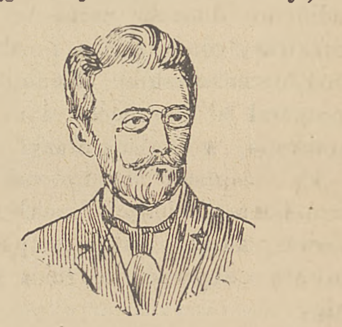
A oto patrzcie — tę ziemię błogą
Wielki grabieżnik naszedł — nie gość,
Nasze świątnice niszczył pożogą,
Naszej przeszłości wyrządzał złość.
A oto patrzcie — gdy krusząc pęta,
Z ciężkiej niemocy powstawał lew,
To chytry tygrys podmówił lwięta,
By wytoczyły ojcowską krew.
I krew płynęła w jedno — w drugie morze...
Mój Boże — mój Boże!...
I krew spłynęła, i znów ni śladu
Po strasznej męce, po strasznej łzie —
I noc tak cicha — liść winogradu
Po mojem oknie wiotko się pnie,
I białe brzozy tam stoją w rzędzie,
Drzemiące głowy ku ziemi gną,
A tam przy brzegu marzą łabędzie
O gwiazdach spadłych na wody dno.
Wonieje ziemia i płoną zorze!...
Mój Boże — mój Boże!...

K. Ujejski.

Album współczesnych pisarzy polskich.

Zebrał i objaśnił Stefan Demby.

(Ciąg dalszy. — Patrz nr. 38-y.)



Ludwik Finkel.

Urodził się w Bursztynie, w Galicyi, w r. 1858. Nauki początkowe pobierał w szkole ludowej w Grzymałowie, a następnie w gimnazyum w Tarnopolu, gdzie w r. 1877 otrzymał patent dojrzałości. W tymże roku wstąpił na wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, w którym kształcił się pod kierunkiem Liskego do roku 1881, pracował w jego seminaryum historycznem i aplikował w archiwum akt grodzkich i ziemskich. W r. 1882 otrzymał stopień doktora filozofii i wyjechał jako stypendysta do Berlina i Paryża dla dalszych studyów nad historyą. W r. 1885 został docentem historyi i literatury polskiej w wyższej szkole rolniczej w Dublanach, w roku 1886 docentem historyi średniowiecznej i nowożytnej, a w roku 1892 profesorem nadzwyczajnym historyi austryackiej w uniwersytecie lwowskim. W r. 1886 był głównym organizatorem Towarzystwa historycznego we Lwowie i do r. 1891 sekretarzem organu tegoż Towarzystwa p. t. „Kwartalnik historyczny“, a od r. 1891 sekretarzem Towarzystwa, członkiem Towarzystwa literackiego Imienia Adama Mickiewicza, Towarzystwa oświaty ludu i akademii umiejętności w Krakowie. Z bardzo wielu prac jego na wyróżnienie zasługują: „Poselstwo Jana Dantyszka“ (1879); „Mikołaj Sęp Sarzyński“ (1880); „Marcin Kromer“ (1883); „Elekcya Leszczyńskiego“ (1884); „Jadwiga Tarłówna“ (1886); „Opis Rzeczypospolitej Polskiej“ z roku

1574" (1887); „Charakterystyka Zygmunta Augusta (1888); „Napad Tatarów na Lwów w roku 1695" (1890); „O konstytucyi 3-go maja" (1891); „Bibliografia historyi polskiej" przy współudziale Henryka Samczyńskiego i koła historycznego (1891—1900); „Historya Uniwersytetu Lwowskiego" (1894) i wiele innych.



Jan Gadomski.

Urodził się dnia 25 maja 1859 roku w Warszawie z ojca Jakóba i matki Barbary ze Zbierzchowskich. Nauki początkowe pobierał w Siedlcach, a następnie w Warszawie, gdzie ukończył gimnazyum. Dalsze nauki studyował w Petersburgu i Krakowie. W czasie pobytu w Krakowie zaczął pisywać artykuły polityczne, a po powrocie w roku 1882 do Warszawy zamieszczał artykuły literackie w „Kłosach" i „Świcie", który przez czas krótki wychodził pod kierunkiem Konopnickiej. W 1886 napisał tragedyę w 5 aktach p. t. „Larik", która była drukowana w „Ateneum", a następnie wydana osobno dwukrotnie, wkrótce wyczerpaną została. W tym też czasie zaczął pisywać do „Gazety Polskiej." Nabywszy ją w roku 1898 został jej redaktorem.



Maryan Gawalewicz.

Urodził się dnia 21 października 1852 r. we Lwowie, gdzie też szkoły średnie ukończył. Następnie przeniósł się do Krakowa i tam uczęszczał do szkoły technicznej i na wydział filozoficzny w uniwersytecie jagiellońskim. Jako student pisywał drobne wierszyki do pism krakowskich. Długi czas był współpracownikiem „Kuryera", wydawanego i redagowanego przez Bartoszewicza. Po przyjeździe do Warszawy został współpracownikiem pism konserwatywnych: „Kłosów", „Bluszczu", „Tygodnika Powszechnego", w ciągu lat kilku redagował „Tygodnik Powszechny" i „Romans i powieść", a następnie był kierownikiem literackim „Tygodnika Ilustrowanego" do roku 1897. W roku 1898 objął kierownictwo „Tygodnika Polskiego", a obecnie jest członkiem redakcyi „Kuryera Warszawskiego." Ogłosił drukiem bardzo wiele utworów poetyckich, monologów, komedyek, feljetonów i powieści. Wydał oddzielnie: „Po drodze", humoreska sceniczna (1881); „Hannibal ante portas czyli Swidrzykowska jedzie", komedya (1882); „Na estradzie", scena humorystyczna (1882); „Zwierzęta w ślicznych obrazkach i wierszykach"; „Guzik", komedya (1887); „O niej", nowele, 2 tomy (1888); „Żona", powieść (1888); „Sylwetki i szkice literackie" (1888); „Poezye" (1889); „Komedye jednoaktowe i monologi" (2 serye 1890); „Z mego albumu", zbiór szkiców i obrazków (1892); „Ćma", materyały do powieści (1893); „Drugie pokolenie", powieść, 2 tomy (1893); „Mechesy", powieść w 2 tomach (1893); „Mgła", powieść (1893); „Stare długi", sztuka w 2 aktach (1894); „Legendy o Matce Boskiej" i wiele innych.



Stefan Giller.

Urodził się dnia 19 września 1834 roku w Opatówku. Po ukończeniu szkół kaliskich sam kształcił się wyżej i wkrótce został adjunktem archiwum akt dawnych polsko-łacińskich. Obok tych zajęć wykładał prywatnie i zbiorowo język, piśmiennictwo i dzieje Polski, a następnie złożywszy egzamin w Komitecie Egzaminacyjnym Komisyi Oświecenia na nauczyciela gimnazyum, otrzymał nominacyę do Kalisza, gdzie obecnie wysłużył emeryturę. W godzinach wolnych od zajęć nauczycielskich zajmował się poezyą. Do najcelniejszych utworów jego wydanych pod pseudonimem Stefana z Opatówka lub Stefana Januarego Sulity należą: „Gawęda o Matyjaszu Kobeżniku na Wilczej Ustroni" (1860); „O Janie, Żórawiu Mogilnym" (1861); „Odwiedziny legionisty i Maja Szarytka;" „Treny na śmierć syna;" „Krakowiaki;" „Kopernik;" „Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu;" „Deotymie;" „Pługowi;" „Noc księżycowa w górach;" „Ślepi gladyatorowie;" „Cynegir;" „Spotkanie z Letą;" „Elegie i Sonety;" „Kartka z legendy 1794 r." Oprócz utworów poetyckich wydał Giller cztery — dramatyczne: „Nowe drogi," komedya; „Licytacye i zajazd," komedya; „Ballada majowa," monolog; „Polski dyabeł," monolog. Pisał również powieści, jako to „Pokutnicy" i szereg nowel: „Niemieckie swaty;" Mateusz Trębacz" i „Czarna Jagna;" „Przytulisko i Zabramka;" „Do ostatniej kropli;" „O słabszych i mocniejszych" i wiele innych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z chwili.

Przedmieście Warszawy, Praga, święciła w ubiegłą niedzielę rzadką uroczystość.

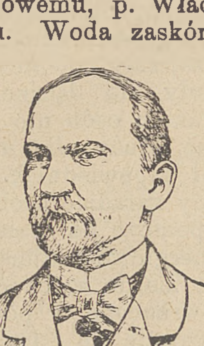
Oto odbyła się konsekracya nowego kościoła pod wezwaniem św. Floryana, oraz otwarcie tej świątyni dla wiernych.

Cenny ten nabytek dla ogółu parafian i Warszawy jest owocem długoletnich zabiegów proboszcza praskiego, ks. prałata Ignacego Dudrewicza, który z niestrudzoną gorliwością, walcząc z brakiem funduszów i zdobywając ofiarność publiczną przebojem, dzisiaj właśnie doczekał się tej wielkiej pociechy, iż z pola, przed kilkunastu laty jeszcze pustego, wystrzeliły wysokie wieże okazałego Domu Bożego.



Ks. prałat Dudrewicz, dziekan warszawski, proboszcz praski.

Po poświęceniu uroczystem placu i ułożeniu kamienia węgielnego rozpoczęte zostały w r. 1888 roboty mularskie, które komisya techniczna powierzyła majstrowi cechowemu, p. Władysławowi Czosnowskiemu. Woda zaskórna tamowała prawidłowy postęp robót, z drugiej zaś strony więcej jeszcze tamował brak funduszów, płynących bardzo wolno, pomimo gorących w tej mierze zabiegów. Kwota rubli 350,000 zebrana ostatecznie z trudem wielkim, okazałaby się też stanowczo niedostateczną, gdyby nie hojne ofiary, składane wprost do rozporządzenia ks. prałata Dudrewicza, i obracane przez niego na cele budowy kościoła. Wśród ofiarodawców znaleźli się ludzie, składający do 30,000 rubli i pragnący, ażeby wia-



Józef Dziekoński, budowniczy.

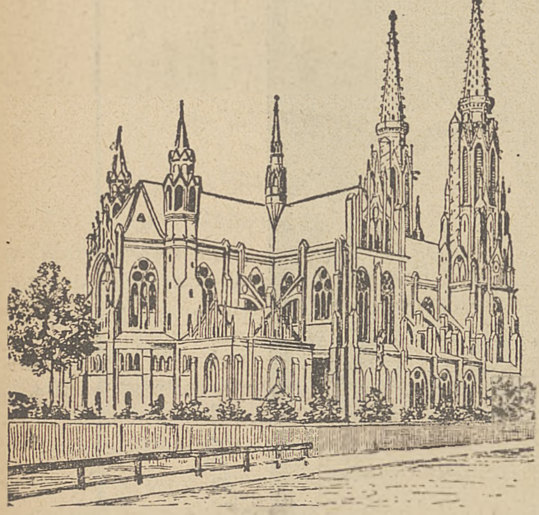


Polowanie na lwa w Afryce.

domość o nazwisku ich pozostała w tajemnicy. Szczególnymi też dobrodziejami nowej świątyni byli: hr. Przezdzieccy, hr. Platerowie, p. Dziechciński i inni.

Dzięki dobrej woli tych dobrodziejów, a głównie dzięki niestrudzonej pracy ks. prałata Dudrewicza i budowniczego p. Dziekońskiego, budowa, acz wolno i z przerwami, mogła postępować naprzód, tem więcej, że przedsiębiorcy starali się dopomagać do wykonania dzieła.

„Tylko ubóstwo kraju stworzyło budownictwo ceglane — mówi znakomity



Widok kościoła św. Floryana w Warszawie na Pradze.

estetyk krakowski, prof. Łuszczkiewicz — olbrzymie sztuki ciosu, poddające się wszelkiej fantazyi artystycznej pod dłutem kamieniarza, zastąpiono tu układem drobnych cegieł, a ornament posługuje się pewną liczbą odmodelowanych motywów.“

Jeżeli pomimo tego ubóstwa, kościół św. Floryana, budowany z cegły, imponujące w dzisiejszej postaci swojej czyni wrażenie, zasługa to niewątpliwie twórcy planu, budowniczego p. Józefa Dzikońskiego. Nie mając do rozporządzenia ciosów, twórca gmachu poprzestać był zmuszony na materyale ceglanym, który wogóle zawodzi nadzieje i sprawia, że architekci przy budowie świątyń osiągają zaledwie rezultaty średnie pod względem trwałości roboty. Szczególniej krajowa cegła okładkowa, użyta do ozdoby ścian nie wytrzymuje ostrości klimatu, w kolorze jest nieładna, a w formach nieskładna. Pomimo to p. Dziekoński dał istotnie rzecz skończoną, stylową. Myśl zasadnicza, t. j. wystawienie gmachu o kształtach monumentalnych, w stylu ostrołukowym, przeprowadzona została konsekwentnie aż do najdrobniejszych nawet szczegółów. Niektóre motywy do ozdobienia stylowego fasad czerpał twórca z dawnych pomników architektury kościelnej, rozrzuconych po ziemiach polskich. Okładka ścian nad ziemią, i połówek i ćwiartek cegły, przedstawia się efektownie, nader zaś misterne rozetowanie okien i lekkie wieżyczki boczne przykuwają oko, czyniąc w całości najdodatniejsze wrażenie.

Zewnątrz kościół jest nietynkowany, części jednakże powierzchni wewnętznej są otynkowane i pozostawione do stosowania polychromii, dokonanej już w prezbiteryum. Dobór materyałów wykonany ze znawstwem, a poczynając od okucia drzwi aż do szyb osadzonych na ołowiu — wszystko składa się w całość nadzwyczaj harmonijną.

Wewnętrzne urządzenie kościoła nie jest jeszcze gotowe, z tego jednak, co już zrobiono, wysnuć łatwo, iż starano się, ażeby wnętrze utrzymane było w stylu całości budowy. Nadzwyczaj piękny efekt wywołuje blado niebieskie światło, spadające z okien sklepienia nad prezbiteryum.

Ambona z drzewa, niemniej stylowa, przedstawi się bez porównania korzystniej, gdy osadzone będą rzeźbione figury dwunastu Apostołów. W chwili otwarcia świątyni osadzono dopiero jednę figurę główną — Chrystusa Pana.

Brak funduszów nie pozwolił wykończyć Wielkiego ołtarza, który ma być wierną kopią takiegoż ołtarza w kościele Panny Maryi w Krakowie. Koszt budowy Wielkiego ołtarza obliczono na 20,000 rubli. Obecnie gotowa jest tylko *mensa*, rzeźbiona w marmurze. Nad *mensą* zawieszono tymczasem kopię obrazu Murilla, około którego urządzone są dekoracye, wykończone z dużym smakiem.

Wszystkich ołtarzy na razie będzie cztery, z tych dwa boczne, gotyckie, rzeźbione w drzewie, są już gotowe, trzeci, również rzeźbiony i boczny, przeniesiony został z kaplicy przedpogrzebowej. W jednym z ołtarzy bocznych umieszczono obraz, umyślnie zamówiony w pracowni Franciszka Krudowskiego w Krakowie. Drugi posiada bardzo udatną kopię jednego z arcydzieł szkoły włoskiej.

Wspaniale przedstawia się chór z wypróbowanemi już, a potężnemi organami. Posadzka kamienna, z tafli czarnych i białych, doskonale wyszlifowana, odznacza się dokładnem dopasowaniem.

Do wnętrza kościoła prowadzi wejście główne i dwa boczne, frontowe. Oprócz tego są wejścia prowadzące na chór, do zakrystyi i t. p.

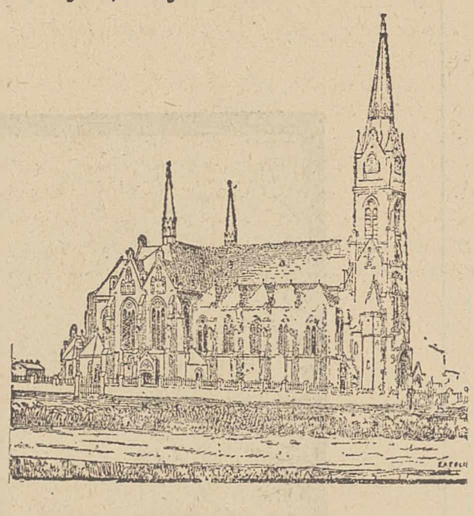
Plac cały okolony będzie parkanem z żelaza kutego, łączonego słupkami z cegieł. Do tej pory zdołano jednakże zaledwie wybudować część frontową parkanu, z pozostałych stron wznosi się parkan drewniany. Dokończenie parkanu nastąpi już niezawodnie w krótkim czasie, a wtedy kościół św. Floryana w stylu czystym gotyckim, bez przymieszek architektury „nizin niemieckich“, ukaże się w całej swej okazałości i przez długie wieki tworzyć będzie wielką ozdobę miasta całego.

Powyżej zamieszczamy widok kościoła od strony ulicy Aleksandryjskiej, oraz podobizny dwóch mężów najwięcej zasłużonych około doprowadzenia do skutku dzieła budowy, ks. prałata Dudrewicza i architekta Józefa Dziekońskiego.

* * *

W Górnych Hajdukach, na Górnym Śląsku, stanął nowy kościół katolicki. W niedzielę 15 z. m. odbyło się poświęcenie kościoła przez J. E. ks. Kardynała Koppa.

Nowy kościół jest wspaniałą świątynią, jedną z najpiękniejszych i największych na Górnym Śląsku. Wewnętrzne urządzenie świątyni Pańskiej przedstawia się bogato i okazale. Główna wieża ma około 75 metrów wysokości i jest z daleka widzialną. W głównej wieży pomieszczone są też dzwony, które razem ważą 60 centnarów, największy z dzwonów waży 30 centnarów. Zabudowany obszar obejmuje około 1650 metrów kwadratowych, wysokość kościoła aż do



Nowy kościół katolicki w Górnych Hajdukach.

głównego gzymsu wynosi $17^1/_2$ metra, aż do szczytu dachu 27 metrów.

Główna zasługa około pobudowania nowego Domu Bożego należy się ks. Tylli, proboszczowi kościoła św. Jadwigi w Król. Hucie, którego podobiznę oraz widok kościoła w Górnych Hajdukach zamieszczamy.



Ks. Tylla, proboszcz kościoła św. Jadwigi w Król. Hucie.

* * *

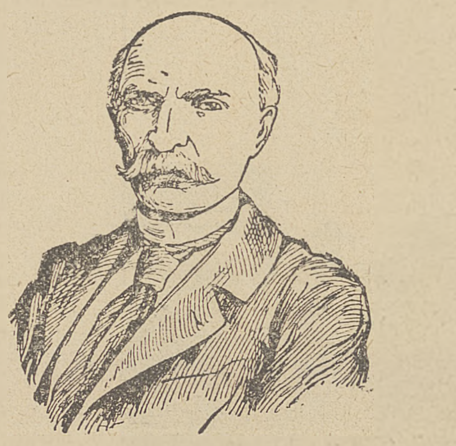
Budowa teatru Wielkiego w Łodzi, rozpoczęta w r. 1898, prowadzona była pod osobistym kierunkiem i nadzorem właściciela i twórcy projektu p. Fryderyka Sellina. Nowy gmach, chociaż na zewnątrz imponuje głównie rozmiarami, posiada wewnątrz rozkład i urządzenie bardzo wygodne i przedstawia się naogół wcale pokaźnie. Troje drzwi prowadzą do obszernego przedsionka, gdzie po bokach znajdujemy kasy, garderoby i wejście do restauracyi. Z parteru prowadzą schody na lewo i na prawo do lóż i wyższych pięter. Sala jest obszerna i mieści na parterze w 20-tu rzędach 400 krzeseł. Lóż jest na każdem piętrze po dwadzieścia. Balkony wszystkich trzech pięter mają po 5 rzędów krzeseł. Widzów nowy teatr będzie mógł pomieścić 1,250 na miejscach numerowanych, nie licząc miejsc stojących na parterze i galeryi.

Cały teatr oświetlony jest elektrycznością i posiada ogrzewanie centralne. Scena ma 27 łokci szerokości, 23 głębokości i 18 wysokości. Kurtyna, przedstawiająca ciężką jedwabną portyerę,

wykonana została przez dekoratora teatru p. Wieczorkowskiego.

Tak więc, dzięki energii i zabiegliwości p. Sellina, który już przed pięćdziesięciu laty wybudował w Łodzi teatrzyk dla przedstawień polskich, miasto to otrzymało nareszcie przybytek sztuki, odpowiadający nieco wybredniejszym wymaganiom.

Teatr polski w Łodzi posiada już swoją historyę. Przed pół wiekiem zaczęły tu przyjeżdżać co czas jakiś wędrowne towarzystwa dramatyczne, które jednak, wobec szybkiego rozwoju miasta, przestały wkrótce zadawalać publiczność, spragnioną lepszego repertuaru, lepszej gry aktorskiej i umiejętniejszej reżyseryi.



Fryderyk Sellin, inicyator budowy nowego teatru w Łodzi.

Zadanie założenia stałej grupy polskiej w Łodzi podjął pierwszy p. Lucyan Kościelecki, były dyrektor teatru poznańskiego, współpracownik ówczesnego *Dziennika Łódzkiego*. Dzięki pomocy materyalnej, zaofiarowanej przez p. Edwarda Herbsta, zdołał on zorganizować trupę z lepszych prowincyonalnych sił aktorskich i osiadł z nią w teatrze Victoria, gdzie w d. 6. października 1888 r. odbyło się przedstawienie inauguracyjne. Publiczność narazie bardzo życzliwie powitała nowe przedsiębiorstwo, dzięki czemu pierwszy sezon nowy dyrektor mógł zamknąć bez deficytu. W drugim jednak roku brak zdolności kupieckich u nowego kierownika wraz z pewnem osłabieniem pierwotnego zajęcia, jakie teatr budził wśród publiczności, wpłynęły na wytworzenie kłopotów pieniężnych, które zakończyły się ustąpieniem dyrektora.

Kierunek teatru objął wówczas artysta p. Karol Kopczewski, który zdołał zapewnić sobie poparcie sfer zamożnych. Zawiązany specyalny komitet teatralny wziął na siebie wszelkie sprawy administacyjne i kłopoty pieniężne. Teatr zaczął się rozwijać i ustalać swój kierunek artystyczny. Jednak po dwóch latach, skutkiem zajść w łonie komitetu, które spowodowały jego rozwiązanie się, zaszła nowa zmiana. Przedsiębiorstwo objął p. Czesław Janowski.

Nowy antreprener umiał lepiej chodzić około interesów teatru, dzięki czemu zdołał na tem trudnem stanowisku wytrwać przez cztery lata, aż do r. 1895. O artystycznej stronie ówczesnego teatru niewiele dobrego da się powiedzieć. Ostatecznie i ten dyrektor zużył się zupełnie i teatr zaczął chylić się ku upadkowi.

W r. 1895 losy teatru łódzkiego wziął w swe energiczne ręce literat Michał Wołowski, który przedewszystkiem zwrócił uwagę na repertuar, wystawiając rzeczy wyłącznie wartościowe. Teatr, pod jego kierownictwem, stanął na dość wysokim poziomie artystycznym. Ale znowu trudności pieniężne zaczęły i nowemu dyrektorowi dawać się we znaki. W r. 1899 Wołowski usunął się od kierownictwa, i sezon zimowy artyści dokończyli sami.

Obecnie już drugi rok dyrekcyę teatru łódzkiego prowadzi b. artysta sceny warszawskiej p. Grubiński. W pierwszym roku czynił to na własny rachunek, odtąd zaś będzie tylko dyrektorem artystycznym, a przedsiębiorstwo całe obejmuje nowy komitet obywatelski.

Nie wątpimy, że nowy komitet, liczący w swem gronie ludzi energicznych i przejętych sprawą ustalenia teatru łódzkiego, da radę wziętemu dobrowolnie na swe barki zadaniu i scenie polskiej w Łodzi zapewni byt spokojny i możność stałego rozwoju.

* * *

Dnia 28-go z. m. odbyło się inauguracyjne przedstawienie w nowym teatrze. Na uroczystość tę przybył także Henryk Sienkiewicz z Warszawy; nadto przybyli z Warszawy pp. Henryk Siemiradzki, Władysław Bogusławski, dr. Karol Benni, Marjan Gawalewicz, Jan Gadomski, Jabłonowski, Jaroszyński, Stanisław Kozłowski, Lucyan Kościelecki, Edward Lubowski, Władysław Rabski, Ludwik Śliwiński, Zygmunt Wasilewski i Roman Żelazowski.

O godz. $8^1/_2$ wieczorem rozpoczęło się przedstawienie inauguracyjne. Teatr zapełniła szczelnie publiczność wytworna, wśród której widać było wielu przedstawicieli ziemian okolicznych.

Na miejscu środkowem balkonu pierwszego piętra zasiadł Henryk Sienkiewicz, otoczony przez panie.

Kiedy Sienkiewicz wszedł do sali, publiczność powstała w krzesłach i lożach i powitała go oklaskami. Znakomity powieściopisarz dziękował ukłonami.

Taką samą owację zgotowano Henrykowi Siemiradzkiemu, który siedział nieopodal Sienkiewicza.

Przed podniesieniem zasłony orkiestra odegrała marsza A-dur Chopina.

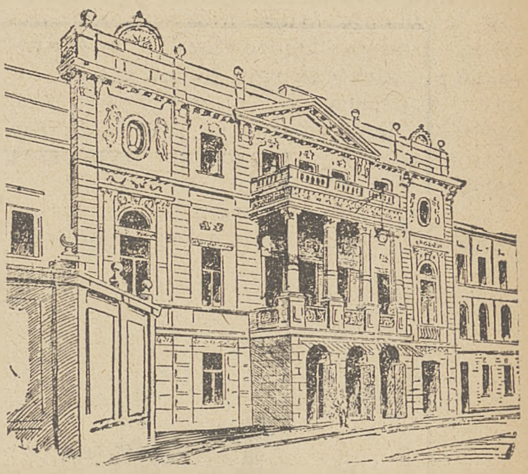
W sali panował nastrój poważny, wysoce uroczysty.

Po prologu p. t. „Symbolista“ wywołano autora, p. Stanisława Kozłowskiego. Następnie odegrano komedję Fredry p. t.. „Pan Benet“, komedję Blizińskiego „Marcowy kawaler“ i akt 5 Rydla, „Zaczarowanego koła“. Publiczność wyniosła z przedstawienia jaknajmilsze wrażenie.

W czasie przedstawienia dokonano zdjęcia fotograficznego widowni i publiczności.

Po przedstawieniu odbył się bankiet, na który przybyło około 200 osób. W czasie uczty panowało ożywienie ogólne i humor doskonały. Na każdym kroku ujawniała się sprężystość komitetu organizującego.

Przemawiali: p. Mogilnicki o teatrze, na co odpowiedział dyrektor teatru, p. Grubiński. P. Gajewicz wzniósł toast na cześć Henryka Sienkiewicza, który natychmiast odpowiedział pięknem przemówieniem. P. Silberstein wzniósł toast na cześć Siemiradzkiego, poczem przemawiał Siemiradzki. P. Łagunowski pił na cześć dramaturgów i sztuki dramatycznej. Edward Lubowski odpowiedział w imieniu autorów dramatycznych polskich. Maryan Gawalewicz mówił o teatrze w Łodzi, Władysław Rabski o publiczności łódzkiej, p. Jabłonowski o przeszłości dramatu. W końcu p. Stanisław Kozłowski wzniósł toast „Kochajmy się“.



Nowy teatr w Łodzi.

W czasie bankietu odczytano telegramy od ks. Chełmickiego, Aleksandra Rajchmana, Zygmunta Przybylskiego, Wścieklicy i innych.

Podczas bankietu grała orkiestra sali koncertowej. —*ski.*

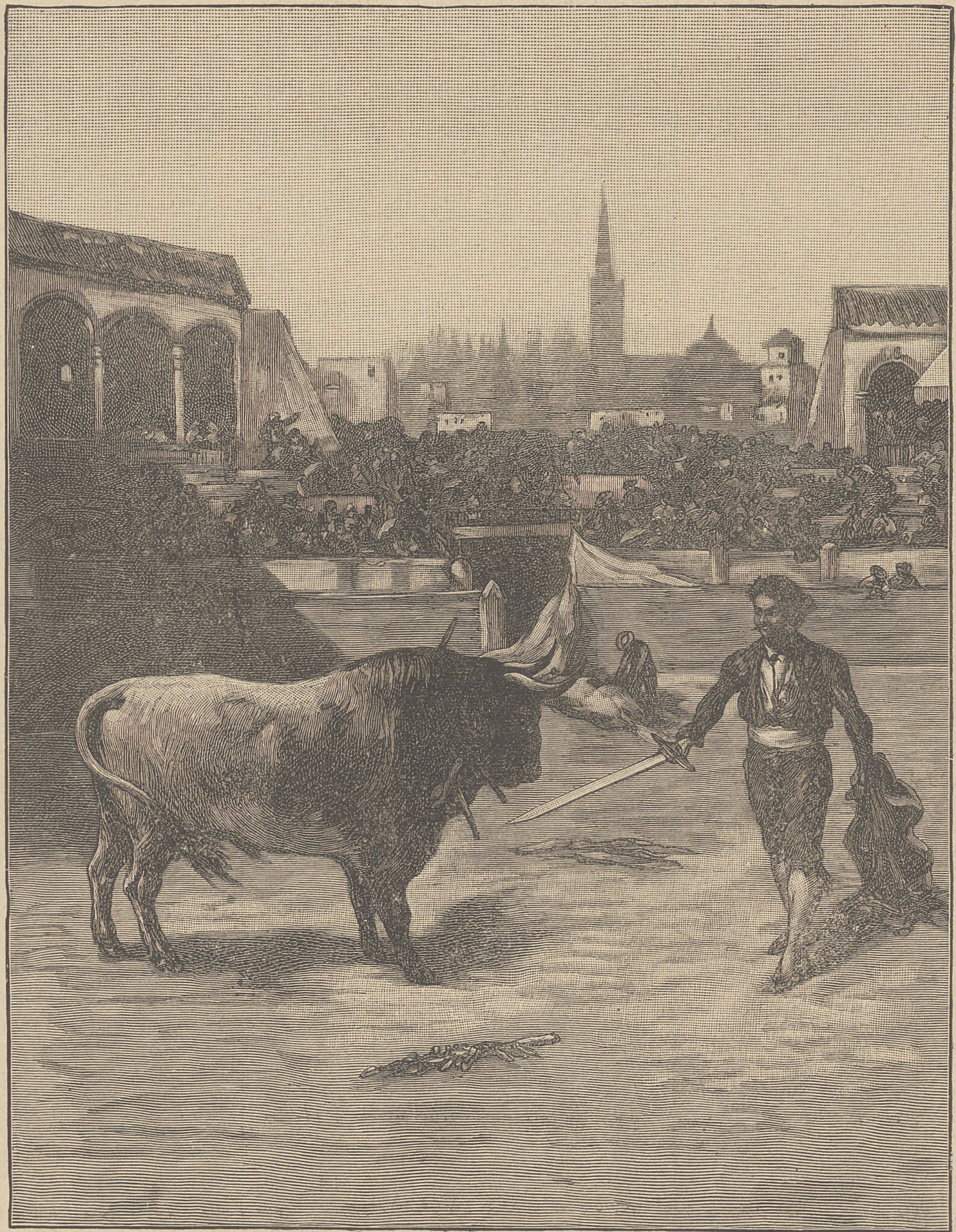
Za późno.

Za późno marzyć o minionej wiośnie,
Gdy niebo chmury pokryły ołowiem,
Kiedy na krzewach wonny kwiat nie rośnie,
Bo mokra ziemia złem mu jest wezgłowiem;
Kiedy się skarżą z drzew opadłe liście,
Z cichym szelestem pędzone po ziemi,
Gdy wiatr im wtórzy w swym ponurym świście
I, jak los nami, tak pomiata niemi.
Za późno słońca pożądać promieni,
Gdy ciepło wiosny zmienił chłód jesieni.

Za późno wierzyć nad ciemną mogiłą
W świat ideału i ludów braterstwo,
Gdy już całunem wszystko to pokryło
Nieubłagane życiowe szyderstwo.
Za późno, kiedy ciernie stopy kolą,
Płakać nad życiem smutnem i tułaczem,
Tęsknić za lepszą i jaśniejszą dolą
I gonić wzrokiem niewiadomo za czem,
Rwać się do lotu w kraje niedościgłe,
Gdy w duszy pusto i serce wystygłe.

Za późno śpiewać do miłości hymny,
Żeby zadziwić głodne wrażeń rzesze,
Gdy się już z duszy żałobnej i zimnej
Płomienia drobna iskra nie wykrzesze.
Za późno w oczy spoglądać kochanki,
Pragnąć od tłumu hołdów i oklasku,
Kiedy się złudzeń rozprysnęły pianki
I brak w źrenicy młodzieńczego blasku...
Gdyś już ze światem związan nicią luźną,
Marzyć i wierzyć i kochać — za późno!

Antoni Orłowski.



Walka byków w Hiszpanii.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Przedruk wzbroniony.)

— Jeżeli się hrabia nie pospieszy, to przyjdzie za późno na pociąg!

— Lucyanie! Lucyanie! — krzyknął markiz głośno spiesz się! Gdzie jesteś?

— Idę już, idę — dał się słyszeć głos w pewnej odległości. Potem wysunął się Lucyan z za drzew, stojących nade drogą i biegł szybko ku powozowi.

— Najwyższy czas — upominał markiz brata. — Ale gdzie Viola?

— Biedna była tak zmęczoną, że nie mogła iść dalej. Usiadła na ławce za parkiem, i czeka tam na ciebie.

W następnej chwili, nie podając już nikomu ręki, siedział Lucyan na koźle obok stangreta, ujął cugle, i konie popędziły wyciągniętym kłusem w kierunku dworca.

„Kiedy nas znowu odwiedzisz? — wołał jeszcze markiz za odjeżdżającym, ale Lucyan nic mu nie odpowiedział. Być może, że nie słyszał już słów brata, a może też nie chciał ich słyszeć.

Teraz też pożegnał markiz doktora i proboszcza, i zabrał się z Bisonem do powrotu.

— Viola cierpi często w ostatnich czasach na migrenę, — odezwał się markiz po chwili milczenia do swego sekretarza, ale to nic dziwnego. Nie pojmuję doprawdy, jak żona moja może znieść woń tych kwiatów, mnie samemu słabo się dziś zrobiło. Najlepszem na to lekarstwem jest świeże, chłodne powietrze. Nie potrzebujemy się też wcale niepokoić o Violę, jest to dzielna, odważna dziewczyna.

Pomimo to szli obydwaj prędzej, a gdy się zbliżyli do ławki, na której Viola miała ich oczekiwać, ujrzeli po drugiej stronie drogi jakiś wielki, ciemny przedmiot, leżący na ziemi.

— Boże Wielki! — krzyknął Bison nagle, — wszakże to panna Lacroix!

Markiz przerażony, rzucił się naprzód, za nim biegł sekretarz. Była to rzeczywiście Viola, nieprzytomna, zemdlona. Chciała zapewne wstać z ławki, iść naprzeciw wracającym i opanowana nagłym zawrotem głowy, upadła na ziemię.

Horacy ukląkł koło niej i podniósł ostrożnie jej śliczną, jasną główkę.

— Violo, siostrzycko droga, — wołał pochylając się nad nią, — co ci się stało? Nie słyszysz mnie? Ona zupełnie jest zimną, — zwrócił się do Bisona, — i oczy jej zamknięte.

— Nie, nie! Zdaje mi się, że otwiera powieki! Odzyskuje przytomność!

Viola rzeczywiście uniosła nieco głowę w tej chwili i spojrzała zdumiona na kuzyna.

— Horacy? ty? — szepnęła cichutko.

— Tak, kochanie, ale co się z tobą stało? Jakże się czujesz, lepiej?

— O wiele lepiej! Głowa nic mnie już nie boli!

— Dlaczego właściwie zemdlałaś?

— Nie wiem. Czułam się ogromnie słabą, usiadłam więc na ławce i prosiłam Lucyana, aby szedł dalej sam. Potem nie wiem już, co się działo. Wstałam pewnie i upadłam tutaj!

— Poślę pana Bisona po powóz do zamku.

— Nie, nie potrzeba, — zawołała żywo, i z pomocą kuzyna podniosła się z ziemi. – Ramie twoje wystarczy mi zupełnie.

Z początku szła wolno, opierając się ciężko na ramieniu markiza, ale wkrótce odzyskała siły i śmiała się z swej przygody. Około dziesiątej nareszcie stanęli wszyscy w zamku — Horacy odprowadził ją aż do jej pokoju, w którym Janka jeszcze czekała, podczas kiedy Gina od dawna już spała.

— Zajmij się pani Violą, — rzekł markiz do Janki. — Biedna bardzo jest słabą i zmęczoną.

— Ach nie, śpiącą tylko! Jutro będę zdrową, jak ryba. Dobranoc, Horacy, nie śnij za wiele o twoich starych dokumentach. Stracisz kompletnie głowę z ich powodu, — zawołała z wesołym uśmiechem, który rozpromienił na chwilę jej bladą twarzyczkę.

— Mniejsze już o moje szpargały, byleby tobie i Ginie nic złego się nie stało, — odrzekł markiz, całując czoło Violi. — Ty wiesz, że wy obiedwie zajmujecie najpierwsze miejsce w mojem sercu!

Po tych słowach wyszedł z pokoju, ponieważ zaś w kurytarzach lampy już były zgaszone, przeto poświeciła mu Janka na schodach. Viola została sama. Oczy jej z dziwnym wyrazem patrzały za odchodzącym, a usta powtarzały bezwiednie ostatnie jego słowa. Potem rzuciła się na kolana przed portretem swej matki i głośnym wybuchnęła płaczem.

— O matko moja, — szeptała wyciągając ręce, — wesprzyj mnie i pociesz! Ile ja cierpię! Nie zniosę tego dłużej! Sił mi nie starczy na tę ciągłą walkę.....

— Domyślałam się zaraz, — zawołała Janka, wchodząc znowu do pokoju i patrząc na płaczącą Violę, — że pani markiza dała ci na nowo dowody swej uprzejmości. O gdyby odemnie zależało, to.....

— Cicho, — przerwała Viola. — Ona jest matką Giny, a zresztą nie dokuczyła mi dziś wcale. Moje nerwy tylko są bardzo rozdrażnione.

— Tak, tak, wiem już, co to znaczy! Za dobrą jesteś, Violo! Ale wszystko to zmieni się wkrótce, skoro Gaston skończy szkoły i otrzyma jaką taką posadę, weźmie nas do siebie. Będziemy wtedy gospodarować razem i urządzimy sobie życie tak, jak nam się będzie podobać.

— Ach, dużo jeszcze wody upłynie do tego czasu!

— O nie! Liczę przytem naturalnie na pana Lemarche, bo wiem z jego własnych ust, jak bardzo on ciebie i Gastona lubi i ceni. On się już wystara o dobre miejsce dla niego!

Viola westchnęła smutnie. Wiedziała niestety, że markiza nienawidziła ją i brata z całego serca i znała wpływ córki na ojca. Gdyby Laura pozwoliła, to stary fabrykant dałby z pewnością Gastonowi dobrą posadę, tem więcej, że młodzieniec był jednym z najlepszych uczni paryzkiej szkoły centralnej i poświęcił się studyom chemii po złożeniu świetnego egzaminu na inżyniera.

Janka nie opuszczała nigdy pokoju Violi, zanim nie poukładała wszystkich rzeczy. Uważała ona się za pewien rodzaj służącej młodej księżniczki, pomimo, że otrzymała równe z nią wykształcenie i wychowanie. Pewnego dnia przybyło na zamek Mitarra w Gaskonii, należący do rodziców Violi, kilka hiszpańskich rodzin wieśniaczych, aby szukać pracy i zarobku. Pomiędzy niemi znajdowała się biedna, chora kobieta, wdowa z kilkomiesięcznem dzieckiem, a gdy po upływie tygodnia znaleziono nieżywą na polu, zabrano niemowlę i niewiedząc komu je dać, zaniesiono je do zamku. Księżna Lacroix Marburg, wzruszona niedolą maleństwa, oświadczyła, że zajmie się sama dzieckiem i dotrzymała przyrzeczenia. Mała Juanita, przezwana Janką, wychowała się razem z Violą, o dwa lata starszą córką księżnej i uwielbiała tak przybraną matkę jak i przybrane rodzeństwo. Mianowicie Viola była jej ideałem i nie było żadnej pewnie ofiary, której nie spełniłaby chętnie dla swej ukochanej „pani". Umierając, prosiła księżna Lacroix swej bratowej, markizy de Plessis, o zaopiekowanie się sierotami, potem jednak przywołała do siebie Jankę i rzekła jej:

— Przyrzeknij mi, że nie opuścisz Violi dopóty, dopóki jej będziesz potrzebną.

Janka przysięgła uroczyście umierającej i przysięgi wiernie dochowała. Kilka razy już mogła była wyjść zamąż, chociaż bowiem nie miała majątku, to podpadająca jej piękność, świetne wychowanie oraz wielka dobroć serca zjednywały jej sympatyą tych, którzy ją bliżej znali, ale ona odmawiała wszystkim, powtarzając zawsze:

— Nie wyjdę zamąż, dopóki jestem Violi potrzebną!

Dziś czekała w pokoju „swej pani" tak długo, zanim Viola nie usnęła. Potem pochyliła się, dotknęła lekko ustami czoła śpiącej i udała się do swojej sypialni.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Markiza została sama w sali jadalnej. Z gniewnie zmarszczonem czołem siedziała zamyślona, nie zważając na spóźnioną porę i dopiero gdy ogień wygasł na kominku, zbudziło ją przejmujące zimno z zadumy. Gwałtownem szarpnięciem dzwonka przywołała służącego i zapytała szorstko:

— Gdzie jest mój mąż?

— Pan markiz, o ile wiem, wyszedł z księdzem proboszczem...

— Jeżeli nie wiesz czegoś napewno, — przerwała markiza wyniośle — to dowiedz się najpierw. Zobacz też, gdzie moja córka i obiedwie jej nauczycielki i przyjdź tu zaraz!

Przemawiając do służby, nie robiła umyślnie żadnej różnicy pomiędzy Violą i Janką, pomimo, że jedna była księżniczką i kuzynką jej męża a druga córką prostych wieśniaków.

Służący wrócił po chwili.

— Panna Gina — rzekł — jest w swoim pokoju z panną Joanną, panna de Lacroix zaś wyszła z panami. Nikt jeszcze dotychczas nie powrócił.

Oczy markizy błysnęły szalonym gniewem. Już otworzyła usta, aby wybuchnąć zarzutami przeciwko mężowi i Violi, ale obecność służącego zmusiła ją do zapanowania nad sobą.

— Proszę mi przysłać Paulinę — rzekła więc tylko krótko.

Zaraz potem wstała i poszła do swego pokoju, urządzonego z wyszukanym przepychem. I tutaj płonął jasny ogień na kominku, a wisząca srebrna lampa, ocieniona różową koronką i zapalone na gotowalni świece, roztaczały blade, miękkie światło na kosztownych meblach i przepysznych dywanach. Paulina, garderobiana markizy, poznała natychmiast zły humor swej pani i nie omyliła się wcale. Laura ganiła i łajała ją nieustannie, to też dziewczyna odetchnęła swobodnie, gdy toaleta nocna była już wreszcie ukończoną i gdy markiza zażądała, jak zwykle przed udaniem się na spoczynek, szklanki świeżej wody.

Paulina poszła po wodę, przyniosła ją na srebrnej tacy i rzekła:

— Jaśnie pan wrócił właśnie i życzy sobie powiedzieć jaśnie pani dobranoc.

— Powiedz mu, że nie jestem zupełnie zdrową i że położyłam się już — odpowiedziała Laura obojętnie.

Zaraz potem żałowała swej odpowiedzi i byłaby ją chętnie odwołała, ale obrażona duma nie pozwalała na to. Siedząc na wspaniałem łóżku, osłonionem koronkową kotarą, wypiła wodę i postawiła szklankę na marmurowy stolik. Biała, jedwabna koszula okrywała jej piękną postać a ciemne włosy, związane czerwoną aksamitką, spadały w dwóch grubych warkoczach na ramiona.

— Zamknęłaś drzwi buduaru? — spytała służącej.

— Tak, jaśnie pani!

— Garderobę także?

— Nie, jeszcze nie!

— Więc zamknij zaraz i zasuń rygiel.

Paulina udała się najpierw do przyległego pokoju po lewej stronie, potem do garderoby, leżącej naprzeciwko, po prawej stronie, pozamykała wszystkie drzwi na klucz i zgasiwszy świece na gotowalni, wyszła z sypialni markizy. Przechodząc przez korytarz, słyszała jeszcze wyraźnie, że markiza zamknęła za nią drzwi i obróciła klucz dwa razy w zamku. Wszystkie wejścia do sypialni były teraz zamknięte i zaryglowane, co było zawsze nieomylnym dowodem złego humoru markizy, bo złodzieji nie potrzebowała się tutaj wcale obawiać. Zresztą Laura posiadała, nadzwyczaj wiele odwagi i nie lękała się nikogo i niczego.

Paulina powtórzyła dosłownie polecenie żony markizowi, który wzruszył tylko ramionami i poszedł natychmiast do swej pracowni, aby jeszcze poświęcić kilka godzin ulubionym dokumentom.

Pokój markiza był cały zastawiony półkami i szafami, zapełnionemi jego skarbami, rękopismami, kartami itp. starożytnościami. W środku znajdował się ogromny stół, zarzucony papierami wszelkiego rodzaju — i przy tym to stole pracował Horacy nad przetłumaczeniem starych, znalezionych w opactwie łacińskich dokumentów na język francuzki.

Godziny mijały szybko jedna po drugiej. Nareszcie skończył cały rozdział pierwszy — równocześnie jednak zaczęła lampa gasnąć i przykry zapach petroleju rozległ się w pokoju.

— Franciszek zapomniał napełnić basen — szepnął markiz rozgniewany, idąc do kominka po świece. — Która godzina może być teraz?

Jak gdyby w odpowiedzi na jego pytanie zaczął zegar bić w tejże chwili.

Markiz liczył uderzenia — raz — dwa — trzy — cztery i dziwił się, że zegar bić nie przestaje. Wreszcie wyliczył ośm uderzeń.

— Ależ to być nie może — pomyślał, biegnąc do okna i otwierając okiennice. Był to rzeczywiście jasny dzień, a śnieg na drzewach błyszczał tysiącami brylantów w złotych promieniach porannego słońca.

Z rozkoszą oddychał markiz świeżem, chłodnem powietrzem, potem jednak udał się czemprędzej do przyległej garderoby, aby przemyć oczy i zatrzeć na twarzy ślady nieprzespanej nocy.

Gdy po upływie pół godziny wyszedł na korytarz, spotkał Ginę. Dziewczynka była blada i zmieszana i ojciec poznał natychmiast, że jakiś kłopot lub niepokój męczy jej młode, niewinne serduszko.

— Co ci jest, pieszczotko? — rzekł pochylając się i całując czule jej twarzyczkę.

— Ach papo, obawiam się, że cioteczka chora — odrzekło dziewczę, tuląc się do ojca.

— Viola?

— Tak, tak! Śpi ciągle jeszcze, a twarz jej biała jest jak śnieg. Nie mogłam jej dobudzić!

— Jest to zapewne skutek wczorajszej migreny, nie potrzebujesz się więc niczego obawiać. Zjedz najpierw ze mną śniadanie, potem zajrzymy do niej.

Gina uspokoiła się nieco, największą bowiem przyjemnością dla niej było jeść śniadanie sam na sam z ojcem. Markiz był dziś w wybornym humorze, rozmawiał z córką wesoło, przygotował jej herbatę i bułeczki i okazywał jej tyle serdecznej miłości, że dziewczynka nie posiadała się z radości i szczęścia.

Ale w końcu przyszła jej znowu na myśl Viola.

— Papo, — zawołała nagle, — zapomnieliśmy zupełnie o cioci. Chciałabym wiedzieć, jak się teraz miewa?

— Bezwątpienia bardzo dobrze, — odrzekł markiz, — inaczej byłaby nas Janka o tem uwiadomiła. Możemy się zresztą zaraz sami przekonać. Potem pójdziemy wszyscy razem do parku, na przechadzkę, lekcye przedobiednie wypadną dzisiaj.

Gina ucałowała z wdzięcznością ręce ojca i wesoła, jak ptaszek, pobiegła na górę, do pokoju Violi. Markiz szedł za nią.

W małym, skromnie urządzonym saloniku, dzielącym sypialnie nauczycielek, siedziała Janka przy biurku i pisała. Na zapytanie markiza jak się miewa Viola, odrzekła żywo:

— Zdaje mi się, że dobrze, wygląda tylko nieco blado i mizernie.

— Więc wstała już?

— Już, — odezwała się w tejże chwili Viola, wchodząc do saloniku. — I nic mi nie jest, czuję się zupełnie zdrową, jak zawsze! Wczoraj musiałam rzeczywiście być przez pewien czas nieprzytomną, po odejściu Lucyana! Wracając do domu, szłam jeszcze jak we śnie.

— W nocy było ci też niedobrze, — rzekła Gina.

— Nie, usnęłam natychmiast i spałam jak kamień.

— O której godzinie więc wstałaś?

— O wpół do dziewiątej.

— Ach nie, ja nie pytam się o to, o której wstałaś rano, tylko o to, o której godzinie wstałaś w nocy?

— W nocy nie wstawałam wcale.

— Ale ja cię przecież widziałam.

— Śniło ci się pewno, Gino:

— Bynajmniej! Trzymałaś w ręku zapaloną świecę i przechodziłaś tuż koło mego łóżka.

— Mylisz się doprawdy! Nie wychodziłam tej nocy ani na chwilę z mego pokoju!

— Jeżeli Viola tak mówi, to też tak jest w istocie, — zauważył markiz stanowczo. — Wszystkiemu złemu winna jedynie odurzająca woń kwiatów, które Laura tak namiętnie lubi. Kwiaty te są powodem migreny Violi i zbyt żywych snów Giny. Ale teraz idźmy do parku, świeże powietrze wróci wam rumieńce i dobry humor.

Gina zamierzała poprzednio coś jeszcze powiedzieć, stanowcze jednak słowa ojca zmusiły ją do milczenia.

— Owszem, pójdę z wami bardzo chętnie, — odrzekła Viola, — ale tylko aż do probostwa. Przyrzekłam proboszczowi, że go dziś przed południem odwiedzę. Stara Katarzyna ciężko znowu zaniemogła, wybierzemy się więc oboje do niej i zaniesiemy jej trochę pieniędzy i konfitur, które biedna tak bardzo lubi.

Markiz otulił starannie Ginę ciepłem futerkiem i po chwili zeszli wszyscy na dół. Tutaj spotkali Paulinę.

— Czy moja żona wstała już? — zapytał markiz.

— Nie, jaśnie pani jeszcze nie dzwoniła, — odpowiedziała garderobiana. — Czuła się wczoraj bardzo zmęczoną, więc też nie śmiem budzić jej!

— Słusznie, słusznie, — przywtórzył markiz. — Niech śpi spokojnie, sen pokrzepi ją i wzmocni.

Około dwunastej wrócił Horacy z Giną i Violą do domu. Nietylko proboszcz i Viola, ale i markiz z córką odwiedzili chorą Katarzynę — twarze ich zarumienione zimnem powietrzem, jaśniały wesołością i swobodą, i śmiejąc się z dowcipów markiza, wbiegły panienki na górę, aby się czemprędzej przebrać na drugie śniadanie, które podawano w zamku z uderzeniem dwunastej.

Horacy udał się teraz wprost do pokoju żony, ale nagle stanął, jak wryty. Przed drzwiami sypialni zgromadziła się cała służba zamkowa, wszyscy zaś zdawali się być przerażeni i bezradni.

— Co się tu dzieje? — zapytał zdumiony.

Janka, która także znajdowała się tutaj, podniosła ku niemu swe piękne, czarne oczy i szepnęła drżącym głosem:

— Pani markiza..... nie wiemy.....

— Cóż to? czy zachorowała?

— Nie wiemy.....

— Od godziny już, — przerwała Paulina, — pukam do drzwi, z początku pukałam lekko, potem coraz mocniej, ale żadnej nie odtrzymałam odpowiedzi. W sypialni cisza taka, jak gdyby tam nikogo nie było!

— Żona moja wyszła może do parku, a nikt z was nie zauważył tego. Trzeba jej było szukać tam najpierw.

— W takim razie nie zamknęłaby za sobą drzwi na klucz! Jaśnie pani nigdy tego nie czyniła.

Markiz usiłował okazać spokój i pewność siebie, ale serce biło mu gwałtownie i twarz zbladła śmiertelnie.

— Niech Jan zaprzęże natychmiast, — rzekł, — i jedzie po doktora Bordera. Jeżeli moja żona zachorowała, to pomoc lekarska musi być na miejscu. Ty zaś, — dodał, zwracając się do Janki, — idź po Violę.

Potem zaczął sam pukać z całej siły do zamkniętych drzwi.

— Lauro! Lauro! — wołał głośno. — Jesteś chorą? Odpowiedz mi przecież!

Ale w pokoju panowała głęboka cisza. Wszyscy wstrzymali oddech, nasłuchując uważnie na najlżejszy choćby szelest — daremnie. W tej chwili właśnie ukazała się Viola.

— Co słyszę — zawołała przestraszona — czy markiza zachorowała nagle?

— Nie wiem — odrzekł Horacy. — Wołam i pukam do drzwi, ale żadnej nie otrzymuję odpowiedzi.

Zimny dreszcz wstrząsnął członki dziewczyny.

— Może inne drzwi nie są zamknięte — szepnęła — próbowaliście już otworzyć je?

— Tak — odezwała się Paulina — wszystkie jednak są wewnątrz zaryglowane. Ja sama na rozkaz pani musiałam je wczoraj na wieczór pozamykać.

— W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak otworzyć je przemocą — rzekł markiz stanowczo. — Może Laura zemdlała, może leży w gwałtownej gorączce...

I z pomocą dwóch służących podważył drzwi, które po chwili z gwałtownym trzaskiem wyłamały się z zawiasów.

W sypalni markizy ciemno było zupełnie, pomimo to można było rozpoznać dokładnie, że na łóżku leżała postać ludzka, spokojna, nieruchoma. Viola pobiegła do okna i otworzyła okiennice.

Służba nie śmiała wejść — markiz sam tylko zbliżył się do łóżka i z przerażajacym okrzykiem cofnął się, zakrywając twarz rękami.

Okropny widok przedstawił się teraz oczom Violi. Laura leżała z twarzą zwróconą ku drzwiom, ale pod lewem ramieniem tkwił sztylet, zatopiony aż po rękojeść w piersi nieszczęśliwej. Pościel cała zbroczoną była krwią, tak samo i dywan przed łóżkiem.

— Zabiła się — jęknął Horacy, potem nieprzytomny upadł na ziemię.

— Zanieście pana do jego pokoju — rzekła Viola do lokai — ja zostanę tutaj przy zmarłej.

Gdy służba wynosiła markiza, nadbiegła Gina, za nią szedł Bison, nie wiedząc co się stało.

— Gdzie mama? — pytała dziewczynka, patrząc na obecnych błędnemi oczami.

— Zemdlała — odpowiedziała Viola, chcąc oszczędzić Ginie okropnego widoku. — Ojciec twój zasłabł także, idź do niego, nie zostawiaj go w rękach służby. Ja muszę zostać przy mamie.

Gina drżała jak w febrze.

— Oboje więc... oboje... — szeptała zbielałemi ustami.

— Tak, oboje, ale dlatego właśnie trzeba nam zachować całą przytomność umysłu. Idź do ojca — prosiła Viola — jesteś mu w tej chwili niezbędnie potrzebną.

Gina usłuchała i chwiejąc się, jak młoda trzcinka, poszła do pokoju ojca, podczas, kiedy Viola wróciła do sypialni Laury.

— Myślisz pan — rzekła do stojącego przy łóżku Bisona, że wszelka pomoc jest tu daremną?

— Bezwątpienia! Twarz zmarłej staje się już siną — odpowiedział Bison smutnie.

— Może jednak spróbować jakiego środka...

— Zaczekajmy na doktora, ale otóż i on — zawołał sekretarz. — Dzięki Bogu, że pan tu jesteś — dodał, oddychając swobodniej. — Markiz nieprzytomny, a jego nieszczęśliwa żona odebrała sobie życie. Nie wiemy czy rzeczywiście już nie żyje — przekonaj się pan czemprędzej...

Border zbliżył się do łóżka i spojrzał uważnie na ciało markizy.

— Mylisz się pan — rzekł poważnie, — ona sobie życia nie odebrała!

— Więc żyje! — krzyknęła Viola uradowana.

— O nie! Ale sztylet ugodził ją z tyłu, nie mogła go zatem sama wbić w serce.

W ogólnem zamieszaniu nikt tego dotąd nie zauważył.

— Ach — szepnęła Viola przerażona — czy to ma znaczyć, że ktoś ją zamordował? Ale nie, to niemożliwe!

— Czemu nie? — zapytał lekarz, rozpoczynając badanie ciała.

— Bo wszystkie drzwi były na wewnątrz zamknięte. Markiz wyłamał te, któremi weszliśmy.

— Tak jest — potwierdziła Paulina. — Drzwi boczne ja sama wczoraj zamknęłam i tak też pozostało aż do chwili obecnej. Przekonaliśmy się o tem, gdyśmy usiłowali wejść tutaj.

— A więc stoimy wobec dziwnej zagadki. Markiza nie żyje, śmierć nastąpiła przed kilku godzinami. Broń przebiła płuca i serce — bliższe badanie zaś wykaże, czy cios wywołał śmierć natychmiastową, chwilowo jednak nie chciałbym zmieniać pozycyi ciała, zanim nie zjedzie sędzia i prokurator.

— Zkąd pochodzi krew na dywanie? — zapytał Bison — rana znajduje się przecież po drugiej stronie ciała!

— Jeżeli płuca są zranione, — objaśniał lekarz — to krew płynie ustami. Na ramieniu nie widać ani jednej kropli krwi, a więc nastąpił zapewne wewnętrzny zalew.

— Viola uklękła i zaczęła się modlić za tę, która jej za życia tyle dokuczała. Bison oglądał uważnie wszystkie meble i sprzęty w pokoju i zwrócił się do stojącej na progu służby.

— Był z was kto w tych dwóch pokojach? — zapytał, wskazując na sypialnią i buduar markizy.

— Nie, nikt — oświadczyła Paulina.

Bison zamknął drzwi i włożył klucze do kieszeni.

— Musisz pan poświadczyć w obec sędziego, — rzekł, — że nikt tu nie wchodził.

— Naturalnie! Co do ciała zmarłej, to powinien tu ktoś zostać i czuwać nad tem, aby nikt jej nie ruszył. Ja zaraz napiszę do prokuratora.

— W takim razie ja zostanę, — oświadczył Bison.

— Ja także, — dodała Viola.

— Nie — zaprotestował doktór żywo. — Siły pani są wyczerpane, zresztą zmarła usług twoich nie potrzebuje. Poświęć się pani lepiej teraz markizowi i córce jego.

— Bardzo słusznie — odezwała się Janka. — Idź, idź, Viola, ja cię tu zastąpię.

— Młoda dziewczyna uścisnęła czule ręce swej przybranej siostry.

— Ale kto uwiadomi pana Lemarche o strasznem nieszczęściu, jakie spotkało jego córkę? — zawołała. On ją tak bardzo kochał.

— Napisać lub telegrafować nie można — rzekł doktór — Pojadę najlepiej sam następnym pociągiem do Paryża i przygotuję go ostrożnie na okropną wiadomość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Starosta Wilczek.

Powieść oryginalna historyczna z czasów Zygmunta III

(Dla „Pracy“ nadesłał B...)

(Ciąg dalszy i dokończenie).

6.

Ocknęła się z snu grobowego zimy przyroda. Na rozjaśnione niebo wystąpiło jaskrawe, dogrzewające słonko. I już stopniałe śniegi w tysiącznych zdrojach z gór szemrzą i mruczą w doliny, a góry i doliny w zielone postroiły się wieńce, by powitać krasną córę poważnego roku, różnobarwną wiosnę.

O jakżeż czarowną dziś znowu natura! Zuzala*) zakukała w krzewach, drozd zagwizdał w bukach, w łąkach derkacz zaskrzypiał i huknął donośnie bąk długoszyi. Jaskółki w powietrzu świegocą, uganiając roje drobnych muszek, i z obfitym żerem dla małych wracają świerkając pod strzechy. I w ludziach jakaś tajemna, niepojęta odżyła radość, bo dziwny jest związek człowieka z przyrodą. Swobodne ich śpiewy zapełniają pola, doliny. W siołach wesoła wrzawa: starce z wypogodzoną jagodą gwarzą sobie rozkosznie o dawnych czasach przed domami; a młódź pokrzykując ochoczo, zawija się koło zatrudnień, porze roku właściwych. Tylko w duszy podwojewodzicowej nic się nie zmieniło; smutek i boleść dogryza jak wprzódy. Wyszła jednak z dziećmi ponad krasne wybrzeża Strypy. Któżby dziś w tej wynędzniałej twarzy, tem zapadłem oku, odgadł wyraz owego czarownego oblicza pięknej starościny?... Rzewnie przemawiają do duszy niewiasty te śpiewy ptaków, żegnających różane słońce, co im za góry ucieka. Tysiąc wspomnień odżyło w jej duszy, ale niestety! smutnych tylko. Cała jej młodość przepłynęła w pośród tych cudów przyrodzenia, ale ona nie zakosztowała z kielicha ich słodyczy. Myśl jej sięgała głębiej, w najczarniejszą przeszłość, w owe dni okropnego rozstania się z Tomaszem i rzewne łzy zrosiły wywiędłe jagody.

Wacławek, dziś już trzynaście lat liczący, towarzyszy wraz z małą swoją siostrzyczką matce, patrzy na łzy jej, ale nie cieszy, jak dawniej. Czemu? Bogu to jedynie wiadomo. Uważano tylko, że chłopczyna od powtórnego matki zamęścia zesmutniał; starsi powiadają, zwyczajnie jak dziecko. Chłopczyk spojrzał ku drodze od lasu wiodącej do zamku, i nagle przerwał milczenie.

— Matko, jakiś pielgrzym zmierza tu ku nam; zaczekajmy, niech się przybliży.

Stanęli, nadszedł starzec w długiej, czarnej szacie, przepasany białemi sznury. W prawicy trzymał długą laskę z rozlicznemi znaki, na lewej zawieszon był kosz z relikwiami, szkaplerzami i rozmaitemi obrazki, a na posiwiałej już głowie spoczywał szeroki kapelusz. Twarz wędrowca świętego w ziemię spuszczona; pochwalił z pokorą Pana Boga, a na wezwanie podwojewodzicowej: „święty ojcze! prosimy z sobą do zamku; strudzone członki wasze potrzebują wypoczynku, znajdziecie go u nas“; jeszcze niżej schylił czoło, i tylko głębokim podziękował ukłonem. Podwojewodzicowa wziąwszy za rękę małą Helenkę, idzie naprzód, za niemi sędziwy pielgrzym. Pani smętnie pogląda przed siebie, czasami zagaduje starca stłumionym głosem, dzieci się nań obracają z wyrazem podziwu. Ale on snać nie chce się spotykać z wzrokiem niewiniątek, bo źrenice głęboko wtopił w ziemię. Jednak gdy nikt go nie śledzi, widać, że dusza walczy z obliczem, któreby pragnęło larwą obojętności pokryć, co się wewnątrz niej dzieje. Przemogła wreszcie wyższa cząstka człowieka, i na twarzy świętego wędrowca wypiętnował się dziwny wyraz boleści, pomieszania. Ciągle zwraca oko na swoję przewodniczkę i z skrytem westchnieniem spuszcza łzą zabiegłe. Któż wie, jakie krwawe z lat przeszłych wspomnienia przywołał ten widok rodzinnego szczęścia pamięci starca? Może i on był ojcem, mężem! Bogu tylko wiadomo.

*) Tak zowią na Podolu i Wołyniu kukułkę.

Przybyli do zamku. Pielgrzym wszedł za panią. Jakieś bolesne zadziwienie wymalowało się na jego twarzy. Czyby on miał znać ten zamek dawniej, że go tak uderzyły zmiany w nim zaszłe od lat kilku? Jakiś głos ozwał się w głębi komnat: „Zosinku, najdroższo żono!“ Wędrowiec zadrżał, pobladł; ale nikt tego nie dostrzegł.

7.

Już to drugi dzień, jak pielgrzym bawi cudownemi powiastki o ziemi świętej, o dalekich swych podróżach, dziatwę podwojewodzicowej; ona się doń przywiązała jak do ojca; wszędzie za nim chodzi, cieszy obrazkami, któremi ją obdarował, a ciągle prosi starca, żeby jej tylko więcej opowiadał. Nikt nie wie, zkąd jest ten starzec! a przecież go wszyscy tak polubili, bo on tak słodki, tak uprzejmy dla wszystkich. Tylko podwojewodzicowa unika jego spojrzenia. Na pierwszym zaraz wstępie do zamku źrenice starca przypadkiem zbiegły się z wzrokiem niewiasty i tak dziwnym i groźnym uderzyły jej duszę blaskiem, że odtąd nie śmie spotykać się z tem obliczem, którego straszny wyraz nawet we snach ją ściga i jakiemś tajnem, okropnem dręczy przeczuciem. A przecież toż samo oblicze tak mile wszystkich ku sobie pociąga, a przecież tenże sam pielgrzym tak słodko dziękuje swej pani za gościnne w dom przyjęcie.

Pod wieczór zebrała się w rozległej zamku komnacie cała rodzina, prócz podwojewodzica, który na dni kilkanaście wyjechał do stolicy. Pani z drobną robótką zasiadła na sofie, karmazynowym adamaszkiem wykładanej, przy niej dwie panny nadworne, takąż stósowną zajęte pracą, a na boku odedrzwi święty wędrowiec. Dzieci natychmiast otoczyły swego starca.

— Mój ojcze kochany, błagał go Wacławek, powiedz nam jeszcze jaką powiastkę; ty tak mile opowiadasz, my byśmy całe życie słuchać cię chcieli.

Na te słowa pielgrzym spuścił oczy w ziemię i tak mówił:

— Oj dziwnież to dziwnie, moje dziatki kochane! Bóg na tym świecie rzeczy rozrządza, ludzi doświadcza, chłosta i cieszy wytrwałych w nieszczęściu. Był też tam ze mną w dalekich owych ziemiach jeden z waszej Ojczyzny, który tego jawnym wam będzie dowodem.

„Jakie było imię tego człowieka, zkąd rodem? tego wam moje dziatki, nie powiem, bo chociaż żyłem z nim jako z bratem, chociaż nic między nami tajnego nie było, o to jednak sam go daremnie pytałem. Przecież gdym raz nalegał, żeby przyjacielowi, towarzyszowi trudów, więcej coś odkrył z dziwnych, jak się zdawało, swych losów, dał się nakłonić i rzekł:

„Siadaj, bracie; czego możesz, wszystkiego się dowiesz odemnie. Spoczęliśmy zatem obaj, pamiętam, jakby to dzisiaj się stało, pod cienistem drzewem świętej ziemi, którąśmy właśnie wspólnie nawiedzali; on zaczął:

„Nie omyliłeś się bracie, mniemając, że dziwne to być muszą koleje, przez które mnie przeprowadzać Bogu się podobało. Blizny, które widzisz na czole, ręce i piersi mojej, oznajmią ci, że niezawsze wędrowcza odzież pokrywała to ciało, ale słuchaj od początku.

„Nie pomnę, ile lat temu; byłem w kwiecie wieku, opływałem w szczęście, w dostatki, we wszystko zgoła, czego człowiek na tym świecie tylko zapragnąć może, kiedy gruchła wieść po kraju, że Turek najechał ziemię naszą i ogniem i mieczem pustoszy świątynie i grody. Jakby gromem rażeni rwą się na ten odgłos straszliwy i starzy i młodzi. Nie chciałem się dać innym wyprzedzić w posłudze dla kochanej mojej matki Ojczyzny. Młody, zapalony, przywdziewam co żywo zbroję, przypasuję oręż, siadam na koń, rzucam zagrodę, dostatki, ciche szczęście i ruszam do obozu, ufny, że Bóg, za którego przeczystą wiarę chwyciliśmy za szable, dozwoli to wszystko wkrótce w zdrowiu odzyskać. Ale Pan Przedwieczny inną mi przyszłość gotował, może, by doświadczyć hartu duszy swego sługi!

„Słuchaj! Po kilku szczęśliwie odbytych walkach, nastąpiła pierwsza wielka i stanowcza potrzeba z bisurmanem, w pobliżu Chocima. Rozzuchwalony dawniejszem powodzeniem, rzuciłem się, skoro znak do boju dano, na tłumy dziczy. Tnę, walczę, rąbię, co mi się pod kord nawinie, gdy się w tem nagle widzę zewsząd otoczonym od wroga. Smierć grozi niechybna. Postanowiłem z chwałą poledz. Przyzwawszy więc cały ogień młodości do dłoni, rzucam się jak wściekły na ściskające mnie roty, lecz w środku najzacietszej bitwy nagle mi w oczach pociemniało, uczułem ból okropny pod sercem i bez zmysłów zwaliłem się z konia. Co się tam dalej zemną działo, nie wiem! odzyskawszy przytomność, ujrzałem

się w ręku bisurmanów, zewsząd dzikiemi otoczony strażami. Gdym odzyskał siły, okuto mnie w kajdany, pędzono za sobą. Na krańcach naszej ziemi zapadłem w ciężką niemoc pewny byłem, że już ostatnia wybiła dla mnie godzina, nawet..“

Tu zamilkł... łza mu spłynęła po licach, westchnął głęboko, jakby żałował jakiego może zbyt porywczego kroku, i po długim milczeniu tak mi znów dalej opowiadał:

„Po dniach kilkunastu wróciło zdrowie, ale straciłem Ojczyznę. W cztery miesiące potem jakżeż daleko, daleko byłem od niej! Pędził skutego w żelaza wróg okrutny prawie bez wytchnienia, przez wsie, miasta, puszcze odludne, aż nareszcie przerzucił za morze, gdzieś tam w ową część swojej ziemi, kędy słońce siarczystem tchnieniem zabija plody, a pali i czerni ciało ludzi. Myślałem, że przecież tutaj będzie kres nędznemu życiu; prawie wszyscy nieszczęsni towarzysze moi, nie wytrzymawszy zmiany nieba, pomarli. Jam został, tak się Bogu podobało. Jednak nigdy, o nigdy bracie! nie byłbym nawet zamarzył wtedy, że jeszcze być może na ziemi jaka okropniejsza niedola nad tę, po której żyłem. A przecież ona była rajem szczęścia do tego, co mi Bóg teraz przeznaczał.

„Na krańcach owego tam świata było małe miasteczko. W południowej jego części wznosiło się coś nakształt obronnego zamku, była to pono siedziba muzułmańskiego rządzcy. Z górnych jej części sypał groźny pan łaski i nagrody, lub ciskał wyroki śmierci; w dolnych, pod ziemią, jęczały ofiary jego srogości. Do tego lochu, ach! na samo wspomnienie krew w żyłach stygnie, do tego lochu wrzucono mnie teraz. O! najkrwawsze katownie tyrana są niczem w porównaniu z tą męczarnią człowieka, którego oczom zamknąć się kazano przed światłością nieba, a duszy rozstać z najdroższym jej skarbem, z wolnością! Zdziczała myśl moja, padłem bez zmysłów, gryząc przegniłą pod sobą ziemię z rozpaczy; zerwałem się potem, biegałem jak szalony po okropnej jaskini, szukając narzędzia, którembym ukrócił te piekielne męki. Ale wśród grobowej ciemności, wśród duszących mnie zewsząd zatrutych par i wyziewów, nie znajdywałem nic, prócz kilka zbutwiałych szkieletów, szczątków zapewne równych, jak ja ofiar! Nie było wtenczas łez w mojem oku, tylko rozpacz wściekła pożerała mi serce; rzuciłem się powtórnie na moje zgniłe, krwią zbrodniarzy przesiąkłe posłanie; siły mnie nagle odbiegły; myślałem, że się wszystko skończyło!...

„Płynęły, płynęły leniwo, jak całe wieki, godziny me okropne, bez nadziei, bez pociechy, bez łez nawet, bo i te się wreszcie wypłakały. Wszystko zamarło we mnie prócz tej jednej iskry nieśmiertelnej, która ożywiała to wynędzniałe ciało. Aż tam raz kiedyś, gdym leżał słaby, zadumany, zacząłem, odzyskawszy tak dawno utraconą pamięć, przebiegać myślą moją przeszłość. I przypominam sobie, że gdym w pochodzie Turków z naszego kraju upadał już na duszy, przybiegł do mnie jakiś jańczar i pokrzepiał nieszczęśliwego, każąc być dobrej myśli, nie rozpaczać. Zdaje mi się nawet, że tegoż samego człowieka widziałem przy sobie, gdy mnie powalono z konia na placu boju... i jakiś promyk nadziei przesunął się przez moją duszę, westchnąłem: Boże, skryte są twoje wyroki! Cóż, gdy zaraz po nim przyszła zimna rozwaga, co i ten cień chwilowej rozkoszy odjęła sercu! Pomyślałem: zapewne to była jaka poczciwa dusza, co chciała nieść pomoc nędzarzowi, ale to tyle lat temu. Bóg wie, gdzie on dzisiaj?... może dawno zgnił gdzie na polu za swoją litość!... Wtem w głębi mojej pieczary zabłysło drobne światełko i zaraz zgasło... coś upadło na ziemię, była to dzienna moja strawa, którą wrzucano nieszczęśliwemu! Nowe męki ścisnęły mi serce, a zraniona tkliwem wspomnieniem dusza zaczęła boleć okropniej. Ale i ten ciężar wypłakał się wreszcie, stałem się znowu tym obojętnym głazem, co dawniej.

„Aż ci tam raz po wielu nocach bezsennych zdało mi się, że słyszę skrzyp podwoji mego więzienia, po tyle lat zawartych. Wytężyłem ucho, jakieś ciche nóg stupanie zbliża się ku mnie. Przeżegnałem się i zadrżałem, po raz pierwszy przed śmiercią, której tak długo wyglądałem. Bo ginąć podstępem, wzdryga się serce, którego nie ustraszyły miliony mieczów na polach bitew; a zrozumiałem, że napastnik mego pokoju był moim mordercą. Wtem głos się ozwał: „Lachu! jeżeli żyjesz, odpowiedz; ja ci wolność przynoszę!“ Nie uwierzyłem, milczę jeszcze, gdy jakaś dłoń schwyciła za rękę moją i powtórnie ten sam głos zabrzmiał: „Nie lękaj się! przed tobą ten, który wydarł twe życie mieczom wroga na placu boju; ten, który cię krzepił, gdyś rozpaczał w pochodzie w kajdanach; przed tobą Mustafa, któregoś ty, niegdyś udarowanego życiem na twojej ziemi, wrócił jego rodzinie! Dziś on przychodzi wypłacić ci dług zaciągniony. Przywdziewaj co prędzej te szaty; pod ich i nocy, która teraz panuje, osłoną, ujdziesz pogoni, bo wiedz, że jutro miałeś zginąć. Han już wydał wyrok twojej śmierci! W czas przybyłem jeszcze cię zbawić, ale nie pytaj, jakem tu przedarł się do ciebie, czemu tak długo cierpieć ci kazałem. Tak było w przeznaczeniu twojem!“ I schwyciwszy mnie silniej za rękę, wiódł szybko jakiemiś ciemnemi lochy. Gdyśmy byli w bezpieczeństwie, daleko za miastem, rzuciłem mu się do szyi, zlewając łzami wdzięczności śniade oblicze barbarzyńca; on sam był wzruszony, lecz naglił znowu: „Uchodź, patrz! noc już na świecie, wiesz, co cię miało spotkać! pamiętaj tylko i w dalekich twoich krajach, że i w muzułmańskich piersiach biją wdzięczne serca“ — i znikł z moich oczu.

„Bracie, usta moje nie zdolne wypowiedzieć tego, co się teraz we mnie działo, gdym po tylu latach odetchnął znowu tem powietrzem swobody, które już nigdy dla mnie wiać nie miało; gdym ujrzał to niebo, to słońce, z któremim się na wieki pożegnał! Jak dziecię nowonarodzone patrzałem na ten świat, jak dziecię dziwiłem się jego cudom! Z jakąż chciwością chłonął wzrok mój to wszystko, co go otaczało; słuch i serce, te dźwięczne śpiewy wolnych ptaszyn, tak dawno nie zasłyszane. Cóż dopiero, gdym pomyślał, że może wkrótce uderzy o moje ucho dźwięk ojczystej dumki, że powitam braci, rodaków!...

„Przywalony szczęścia nawałą, upadłem na kolana, począłem dziękować Bogu za jego cudowną opiekę nademną i ślubowałem mu wtedy, że nie prędzej wrócę do Ojczyzny, nim nie zwiedzę ziemi, w której syn jego jedyny umarł za świat grzeszny. Dopełniłem już tej przysięgi, wspólnieśmy płakali za nasze winy nad grobem Zbawiciela. Ale jest jeszcze jedna, bracie! którą związany jestem; oby mi jej dotrzymać dał Bóg siły... bo okropny to ślub!... jam zostawił żonę... dwoje dzieci!...“

Tu głos pielgrzyma zacichł. Podniósł wzruszone oblicze, wszystkich oczy łzami zabiegły. Podwojewodzicowa struchlała... drży cała. Wędrowcowi świętemu okropnie na sercu. Kiedy do żywego tknięty jego powieścią Wacławek, rzuca mu się do szyi i woła z jękiem: „Starcze, to może nasz ojciec! powiedz, gdzie on się podział... o gdyby Bóg go nam wrócił!...“ Więcej żal mówić nie dozwolił rozczulonej chłopczynie, łzy tylko rzęsiste tłomaczą jego uczucia.

Ale cóż się to stało z samym pielgrzymem. Łzy mu strugami toczą się z oczu, twarz dziką zawrzała boleścią; widać, że serce jego i dusza jakąś okropną staczają walkę. Chiałby opowiadać dalej, ale usta jego drżą i martwieją, drży cała postać wzruszonego starca. Wszyscy drętwieją na ten„ widok! Gdy wtem, jakby wyrwane z więzów krępującej je rozważającej duszy wszystkie żary serca wybiegły krwawym strumieniem na lica świętego wędrowca, źrenice wyswobodzoną zajaśniały boleścią. W obłąkaniu przycisnął do piersi chłopczynę i małą obok stojącą Helenkę, i jęknął przeraźliwie: „Wierne dzieci moje! człowiek, którego dzieje wam opowiedziałem, stoi przed wami; nie omyliłyście się, jest to wasz prawy ojciec;“ i rozdarł szatę pielgrzymią... Lecz w tejże samej chwili drugi jęk wydarł mu się z jego piersi: „O Boże! przebacz...“ i śmiertelną pokryty bladością, pochylił się ku ziemi.

Przypada struchlała podwojewodzicowa, poznaje ubiór wojacki starosty, poznaje swój medalionik na jego piersi, poznaje Tomasza! Rzuca mu się do nóg, z okropnym krzykiem: „Mężu najdroższy! odbierz życie grzesznicy, ale przebacz, przebacz! nieszczęśliwej twojej Zofii!...“ Te jęki rozpaczającej żony wzruszyły konającego, podniósł się nieco, wzmógł i mdlejącym jeszcze rzekł głosem, kładąc śmiertelną dłoń na jej skronie: „Zofio! wszystko zapominam, oby i mnie Bóg tak odpuścił mój występek... trzy dni przysiągłem jeszcze być pomiędzy wami niepoznany... złamałem święte śluby, muszę umierać!... błogosławię, błogosławię wam wszystkim po raz ostatni!“... I z ostatnim tym dźwiękiem duch uleciał z ciała.

W kilka dni złożono w familijnym grobie zwłoki starosty. W kilka tygodni później spoczęły obok nich prochy drogiej jego Zofii. A lud prosty gwarzył pomiędzy sobą, że od owej chwili mogiła starego Drozdowskiego, tylko dzikim porastająca chwastem, nagle się bujnie zazieleniła, i odtąd, chociaż mróz wszystko wokół powarzy, nigdy nie traci swej majowej krasy!

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Tak, panie, tak — powiedział Wojtek, który wysłuchał całą rozmowę — ja sam wiem, że się ta panna za mąż wydaje za jakiegoś wielkiego hrabiego; mamunia tam chodzi do tej pani z pietruszką i zna się z ich służącą Basią co znowu chodzi do nas. Słyszałem na własne uszy jak opowiadała sama o wszystkiem: wydaje się ta panna za wielkiego pana.

Stanisławowi kręciło się w głowie, nie wiedział co myśleć o wszystkiem.

— Chryste Najświętszy! — wołał miałaby to być prawda istotna, miałażby Marya stać mi się niewierną!

Nie zważał, że patrzą się na niego obcy ludzie, że wszystka czeladź spoglądała z ciekawem podziwieniem na niego, latał po warsztacie bezprzytomny prawie przewracając leżące mu w drodze trójnogi.

— Tak, to będzie prawda — mówił — ona nie wiedziała przecie, że żyję, myślała, żem zginął, sam przecie z nią się pożegnałem, napisałem: umieram; i uwolniłem ją od dotrzymania mi wiary, żywemu byłaby mi ją dochowała może, z umarłym nic ją nie wiąże. Kto to mówił panie Mateuszu, że Marya za mąż idzie?

— Mówiła Wojtkowa matka, mości dobrodzieju.

— Któż to jest ta Wojtkowa matka?

— Wie pan ta siedziarka, co ją pan tu raz widział we warsztacie, ta co to milicyantowi czapkę ze łba zrzuciła i miesiąc siedziała w areszcie.

— Gdzie ona mieszka? Idę zaraz do niej.

— Mieszka na Pradze, mości dobrodzieju, tam pana zaprowadzi Wojtek, bo to jego matka.

— No zaprowadź mnie chłopcze!

— Pan Mateusz kiwał głową i patrzał z współczuciem na zbierającego się do odejścia Stanisława.

— Mój Boże — myślał sobie w duszy — krew w nim nie woda, taka gorąca, pali się by hubka, byle co to ogień.

* * *

Wojtek był przewodnikiem, Stanisław szedł za nim.

Doszli na Pragę do znanego nam domku, będącego własnością pani Katarzyny i jej godnego małżonka, pana Mikołaja.

— Matusia jest w domu — mówi Wojtek, zobaczywszy jeszcze z daleka dymiący się komin domowy; podleciał naprzód, drzwi otworzył i wprowadził obcego.

Pani Katarzyna warząc przy ogniu kartofle, narzekała przy tem zatrudnieniu na ciężkie teraźniejsze czasy, na własną biedę, na męża Mikołaja, na ludzi w ogólności, na żydów w szczególności, osobliwie na tych, którym na Franciszkańskie płaciła regularnie procenta.

— Oj bieda na tym świecie — mówi — z ludźmi nie dojdzie do końca, żeby wiedzieli, że umrzesz z nędzy nie pomogliby ci przecie, a największa bieda z temi pijawkami żydami, naszą krew piją, jedzą nas i pozjadają nas pewnie; o czuję ja, że się temi procentami gubię, zarzynam się powoli. Chryste Najświętszy, w imię ojca i syna, a to co znowu — zawołała nagle, nad nią bowiem stanął przyprowadzony przez Wojtka Stanisław.

— Niech no się imość nie stracha — spokoji ją tenże na wstępie — umarli z grobów nie wstają, ja także z grobu nie wstałem; nagadali imości, że mnie zabili, widzicie a ja przecie żyję.

— I to pan żyje?!

— A jak widzicie!

— Jak to może być, co to się z panem podziało?

— Różnie się ze mną podziało, o tem wszystkiem rozpowiadać nie będę, gdyż nie jestem usposobiony do opowiadania; prowadzi mnie do was interes: zkąd imość wie, że Marya idzie za mąż, i za kogo ona idzie?

— Idzie za tego wielkiego hrabiego, a zkąd ja wiem? chodzę tam przecie do tego państwa z pietruszką, wszystko mówi mi Basia.

— Więc to prawda wszystko, co mi powiedziano?

— A jakżeby nie, kiedy tak jest akuratnie.

Stanisław był blady, czuł wielki ból w sercu, tak mu było jakby to serce krwią zalać się miało. Opuszczała go zwykła siła, zachwiał i potoczył się pijany rozpaczą.

Po chwili opuścił głowę na piersi, przyłożył rękę do twarzy i zapłakał.

— Czemu ja żyję mój Boże, czemum nie zginął? w tak krótkim czasie zapomniała o mnie, taka czysta, taka święta na pozór, a taka płocha! nie szanowała mojej pamięci, a ja jej tak ufał, tak wierzyłem w jej cnotę! tak wierzyłem w czystość jej uczucia!

Nie wiedział o świecie Stanisław, nie wiedział co się w koło niego dzieje, czuł tylko własną rozpacz, trzymając się ręką za serce wyleciał z izdebki i biegł sam niewiedząc dokąd.

Za uciekającym wybiegła pani Katarzyna, ale go już nie mogła dogonić.

— Czekaj pan — wołała napróżno, czekaj no pan, mam panu coś powiedzieć, o ciężkaż moja bieda, jaka ja głupia, żem go puściła i żem mu nie powiedziała wszystkiego.

Pani Katarzyna powróciwszy, miała długi ze sobą monolog.

— Ja taka zawsze głupia — mówi, co to ja też dobrego zrobiła! dokąd on tak poleciał, było mi go nie puścić i rozpowiedzieć mu co trzeba; ba, kiedy uciekł! O, biedaż moja ciężka, juźcić muszę pójść do panienki i rozpowiedzieć jej wszystko.

Jak powiedziała tak i zrobiła, zarzuciła kraciastą od niedzieli chustkę na głowę i poszła.

Marya blada i smutna siedziała z książką w ręce, lecz w niej nie czytała, była zamyślona. Obecnie jej położenie było bardzo przykre i dawało jej do myślenia. Hrabia Artur zręcznem wpływaniem na panią majorową uzyskał tyle, że przyrzekła stanowcze oddanie mu ręki Maryi; majorowa znała dobrze swoją córkę, wiedziała, iż się woli jej nie oprze, chciała ona rzeczywiście tylko jej szczęścia, sądziła zaś, iż ją hrabia uczyni szczęśliwą.

Majorowa nie byłaby pod żadnym warunkiem rozkazem lub w inny przymusowy sposób zmuszała Maryę do oddania ręki hrabiemu, zmuszała ją ona przedstawieniami, prośbą, namową i miłością; matka i córka kochały się serdecznie, matka pragnęła szczęścia córki i powiedziała jej:

— Idź za hrabiego.

Marya odpowiedziała:

— Nie pójdę, ja go nie kocham, nie będę z nim szczęśliwa, będę szanować pamięć Stanisława i nigdy za mąż nie pójdę.

— Dziecinna jesteś — powiedziała na to matka, żal przemija, przyjdziesz sama do tego przekonania, że tak na zawsze zostać nie może; nadarza ci się dobra partya; nie można odrzucać, pierwej bym ci nigdy nie była robiła podobnej propozycyi, teraz skoro widzę, że hrabia cię rzeczywiście kocha, skoro widzę jego charakter szlachetny i jego zacność, proszę cię sprzyjaj mu, ja upatruję w tem twoje szczęście, starą panną ni zostaniesz, nie pozwolę na to, mnie już niedaleko do grobu, chcę ci się za życia jeszcze postarać o dobrego opiekuna, abyś nie została największą sierotą na świecie, bez ojca i matki, skoro pomyślę, że podobne sieroctwo zaskoczyć cię może, ściska mi się serce. Dziecię! cóż byś ty taka opuszczona poczęła na świecie?

Zapłakała Marya. Jakżeż nie było jej płakać, kiedy matka do niej o sieroctwie mówiła.

— Jabym ciebie nie przeżyła mamo, nie byłabym ja długo sierotą, poszłabym wraz po tobie do grobu.

— Nie dziecię moje, nie! nie tak to się łatwo umiera, rozedrze się serce, a człowiek przecie zostaje przy życiu, zdaje mu się, że go ból połamie, a przecie się nie kładzie do grobu,

tyś młoda, świat dla ciebie, moje kości popróchnieją w grobie, a ty żyć będziesz długo, długo. Tak dziecię, nie zostawię cię samą, chcę ci dać opiekuna.

Marya drżała; tłukło jej się serce, odbywała się w niej wielka walka, chodziło o to, czy ma być matce posłuszną, łzy polały się z jej ócz strumieniem, a przecie „tak“ nie powiedziała.

Matka zasmucona potrzęsała głową, spojrzała na córkę i odeszła od niej. Odtąd więcej mowy w tym przedmiocie nie było, pani majorowa nie zmieniła woli, a Marya trwała w uczynionem sobie postanowieniu nieprzyjęcia ręki hrabiego Artura.

Pani majorowa mimo przyrodzonej dobroci serca i łagodności nie należała do kobiet słabych, ustępujących przed lada naciskiem, była to kobieta serca i woli, wszelkie uczucie miłości mieszkające w jej sercu nie ubezwładniało ją, lecz czyniło ją silną. Miłość jej macierzyńska dla Maryi była wielką, lecz nie była ślepą, gdzie chodziło o szczęście córki tam umiała ta matka być bardzo silną i póty nie spoczęła spokojnie, póki zamiaru nie doprowadziła do skutku.

Matka nie czyniła córce wyrzutów, nie uskarżała się na jej nieposłuszeństwo, lecz w każdem jej spojrzeniu czytała córka wyrzuty i widziała tam nieprzełamaną wolę popychającą ją przed ołtarz z człowiekiem, któremu serca oddać nie mogła; te spojrzenia matki były dla Maryi przyczyną wielkich męczarni, gdyby ta matka była się na nią gniewała i nakłaniała ją przymusem do posłuszeństwa, byłaby się oparła, ale ta matka nie gniewała się nigdy, lecz za to konsekwentnem postępowaniem, milczeniem i cichą skargą tak umiała niewolić, że opór stawał się niepodobnym i wreszcie uledz trzeba było.

Stan taki trwał już od pewnego czasu, Marya chwiała się, walczyła, rzucała się na piersi matki, matka ją nie odpychała od siebie, ale nie zmieniała woli, widziała Marya, że długo się już nie oprze, że uledz wreszcie musi, opór jej osłabł i tylko nadzieja niespodziewanej jakiejś pomocy w nim ją utrzymywała.

Hrabia bywał w domu pani majorowej często, z Maryą był czuły i grzeczny, ale o miłości nie mawiał więcej do niej, był pewny, że czas wszystko na dobre odmieni. Świat widział w Arturze i Maryi parę jak gdyby już złączoną, w wyższych kółkach mówiono, że hrabia zamyśla zrobić mezalians wielki, rozbierano rodowód Maryi i przymioty jej ciała, ubolewano nad hrabią i jego zaślepieniem.

Nawet stara Basia mówiła w poufnej rozmowie: nasza panna wyda się za pana hrabiego, będzie wielką panią, ja i starsza pani będziemy wciąż przy niej.

Relacye o zamyślonem zamęściu miała pani Katarzyna z ust Basi, Wojtek słyszał co matka mówiła, pan Mateusz Gruszka dowiedział się wszystkiego od Wojtka, później z ust samej pani Katarzyny i w ten sposób krążyła nowina, że wiedzieli o niej ci co potrzebowali i ci co nie potrzebowali wiedzieć.

* * *

Pani Katarzyna przyszedłszy do przedpokoju mieszkania pani majorowej, pytała Basię o pannę

— A na co wam panny? dziwi się Basia.

— O, trzeba mi jej bardzo, mam jej coś powiedzieć.

— A co jej macie powiedzieć?

— Powiem tylko jej samej.

— A cóż takiego?

— Ba, wam nie powiem.

— No nie powiedźcie, albo ja taka ciekawa! koniecznie nie chcę wiedzieć; ja pannę poproszę.

Wyszła Marya.

— Panienko! jest szczęście! — mówi pani Katarzyna z ekstazą.

— Szczęście? cóż by to było za szczęście?

— Wie panienka, ten pan ładny, wysoki, co to się z panienką miał żenić nie umarł; jego nie zabili, on żyje?

— Jaki pan, kto, co wy mówicie?

— Ten pan com od niego pismo przyniosła, wtedy kiedy go zabili?

— Stanisław?

— Ten sam, pan Stanisław.

— Więc cóż?

— Jego nie zabili, on żyje.

Maryi kręciło się w oczach.

— Kobieto! zastanówcie się, co mówicie, nie dręczcie mnie próżno; on umarł.

— Panienko! jak Boga kocham, ja go dopieruteczko co na własne oczy widziała; pytał się o panienkę, ja mu powiedziała, że panienka się za wielkiego hrabiego wydaje, nie wysłuchał mnie więcej, odleciał odemnie gdzieś ku stronie Wisły, boję się, aby mu się co złego nie stało, gotów się utopić może, to takie gorące jak ogień.

Marya słuchała z otwartemi ustami.

— Wy nieprawdę mówicie kobieto, co wam się stało, kto was do tego namówił?

— A któżby mnie miał do czego namawiać; panienko! jak mi Boga świętego przy skonaniu trzeba, powiedziałam prawdę.

Pani Katarzyna zaręczając za prawdziwość tego co opowiadała, wyglądała tak szczerze i wierzytelnie, że wreszcie jej uwierzyła i Marya.

A Marya pragnęła z całej duszy uwierzyć, uwierzywszy zachwiała się, krzyknęła, potem rzuciła się do drzwi chcąc w pogoń za Stanisławem polecieć.

Basia przytomna kobieta, wiedziała co w każdym razie jej czynić wypada: zastąpiła pannie drogę i nie puściła ją do drzwi.

— Co panna chce najlepszego robić, co panna robi dla Boga, dokąd to panna chce lecieć!

— Puść mnie, puść mnie Basiu!

— Nie puszczę pannę, nie puszczę, uspokój się panna.

Przywołaną krzykiem panią majorową, dziwiło szamotanie się Basi z Maryą.

— Cóż to znowu takiego, cóż to ma znaczyć? — pyta.

— Ot, przyszła ja — tłómaczy pani Katarzyna — powiedziałam pannie o tym panu co to miała pójść za niego, że był u mnie dopierutko co, panna się tak rwie do niego.

Pani majorowa z trudnością mogła wyrozumieć z takiej mowy o co właściwie rzecz chodzi. Z panią Katarzyną naturalnie nie była dotąd w bliższych stosunkach, nawet nie przeczuwała tego, iżby ta szczególna jakaś kobieta wtajemniczoną była w sprawy sercowe Maryi, zkąd znowu przypuszczać coś podobnego! zaś aby to o Stanisława chodziło, ani jej na myśl nie przyszło. W całej scenie widziała jakąś niepojętą awanturę, jaka się jej dotąd w życiu nie zdarzyła nigdy.

— To coś szczególnego — mówi, nie wiem co myśleć o wszystkiem; moja kobieto! powiedźcie mi czego wy właściwie chcecie?

— Ja niczego nie chcę proszę pani, ja tylko przyszła powiedzieć, że ten pan był u mnie, że...

— Mamo! mamo! Stanisław żyje! — woła Marya, która dopiero teraz obecność matki spostrzegła — ta kobieta widziała go przed chwilą i przyszła mi powiedzieć o tem.

Pani majorowa patrzyła na córkę, zdawało jej się, że ona od zmysłów odeszła?

— Co ty mówsz, Maryo? co tobie takiego? czyż ty chora może?

— Nie, mamo, ja nie chora, nic mi nie jest, Stanisław żyje, on z pewnością żyje, czuję to w duszy, on tu jest w Warszawie, blizko przy mnie, będę go widziała, mamo, ja gotowa rozum postradać z radości.

Pani majorowa przelękła się bardzo, była tego przekonania, że Marya już rozum postradała. Roztwiera ramiona, obejmuje niemi córkę, tuli ją do siebie i płacze.

Marya płakała także, ale z radości.

— Mamo, mamo! ja pójdę, ja muszę Stanisława odszukać, powiedzieli mu, że idę za hrabiego, on myśli, że ja go nie kocham, że ja wiarołomna. O, kocham cię Stasiu, kocham bardzo, nad wszystko na świecie! Biedny, ile on musiał wycierpieć! ja czekać nie mogę, ja pójdę zaraz szukać za nim mamo.

— Nie dziecię! nigdzie nie pójdziesz, tu zostaniesz, próżno byś szukała Stanisława, przyjdź do przytomności, wiesz przecie, że Stanisław nie żyje.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmowa.

Rozmawiam z tobą, wielki duchu świata,
Gdy boleść piersi ściska jak obręczą,
A myśl znużona w przestworza ulata,

Goniąc za słońcem, gwiazdami i tęczą,
Aż się z chórami aniołów zespoli,
Co tam gdzieś w górze tęskną pieśnią [jęczą.

Rozmawiam z tobą, gdy obraz niedoli,
Obraz cierpienia i krwawych ran ludzi
W duchu się moim odciska powoli;

Gdy ciągła walka z życiem zapał studzi,
Gdy tchnienie grobów wlewa nowe siły,
A ryk piorunów znów do życia budzi.

Rozmawiam z tobą, patrząc na mogiły
Uczuć i myśli ubiegłych stuleci,
Co wieniec z laurów dla przyszłości wiły.

Rozmawiam z tobą, gdy wpośród zamieci
Życiowej ujrzę jasną sferę słońca,
Gdy wśród błękitów jutrzenka zaświeci;

Gdy myśl, zmęczona wędrówką bez końca,
Spocznie na chwilę na piersiach natury;
Gdy duch swe skrzydła o głazy roztrąca,

Pragnąc ulecieć za gromowe chmury
I jedną chwilę czuć się samym sobą;
Gdy dzień zabłyśnie jesienny, ponury,

Cichy, bez słońca, okryty żałobą —
Wówczas w lecących, zżółkłych liści [szmerze
Słucham cię, duchu, i rozmawiam z tobą!

Wówczas odświętne szaty na się bierze
Duch mój i wkłada wieniec z mirtów wity,
I skarby swoje składa ci w ofierze;

Wówczas wie pyta: kto rozpiął błękity
W górze? kto rzucił w przestwór słońc [miljony
I w niebo dźwignął alpejskich gór szczyty?

Kto w chmurach czarnych dla gromów [wzniósł trony?
Zdrój życia w piersi drobnych wlał żyjątek,
I wytknął światom ich bieg nieskończony?

Gdzie jest twój koniec i gdzie jest początek,
Duch już nie pyta, bo wpatrzony w ciebie
Śni, jak na widok z dawnych lat pamiątek,

Które myśl w sercu sierocem wygrzebie,
Śni o aniołach, o cudach, o niebie...

Jan Nitowski.

W obłąkaniu...

(Opowiadanie malarza.)

I.

Wracałem z przyjacielem z tańcującego wieczoru i wypadła nam jedna droga. Dzień się zbliżał, koguty piały i niebo różowiło się na wschodzie. Znajdowaliśmy się w dolinie, otoczonej malowniczo wzgórzami i obramowanej zielenią drzew.

Na uboczu, zdala od innych zabudowań, wyróżniał się długi budynek, opatrzony sześcioma oknami, który sprawiał przygnębiające wrażenie opuszczenia i smutku. Mostek zielony, rzucony w poprzek płynącego strumienia i niewielki ogród były równie zaniedbane. Wszystko tam było opuszczone i jakby wymarłe, nawet na drzewach nie zamieszkał ptaszek.

— Nikt nie chciałby przebywać tu dłużej, rzekłem do mego towarzysza, który od dłuższego już czasu mieszkał w tej okolicy, po ukończeniu studyów malarskich w Paryżu.

— Naturalnie, że nie, odparł artysta, ale ty, który jesteś zwolennikiem rozmaitych nienaturalnych wydarzeń, posłuchasz chętnie tego, co opowiem o tem dzisiejszem pustkowiu.

II.

Niedawno temu zamieszkiwała domek nad strumykiem wdowa z synem jedynakiem, urodzonym już po śmierci ojca, dziedzicu znacznych włości.

Dobra sprzedano, a młoda wdowa usunęła się z widowni świata do tego domku w dolinie, w którym żyła w odosobnieniu zupełnem, z kilkoma starymi służącymi.

Matka i syn nie rozłączali się nigdy. Wprawdzie wdowa oddała jedynaka do pensyonatu w sąsiedniem miasteczku, ale trawiona gorączką tęsknoty, zaniechała zamiaru i od tej pory chłopiec wychowywał się w domu, nie znając zupełnie świata, prócz tej doliny — i innych ludzi, prócz matki i wiernych służących.

Jeżeli zobaczyło się matkę, można było być pewnym, że syn znajduje się niedaleko. Dom opuszczali rzadko, a jeżeli wychodzili, to zawsze razem. Matka, osoba bardzo nabożna, bywała często w kościele w towarzystwie syna. Podobieństwo ich do siebie rzucało się w oczy. Nietylko rysami byli podobni, ale tysiącem drobnych szczegółów w gestach, chodzie i wyrazie fizyognomii. Byli szczupli, kościści, o długich nosach i wązkich wargach. Oczy mieli także jednakowe, mieniące się tysiącem różnorodnych wrażeń. Czasem były spokojne, to znów ponure, lub tryskające życiem i radością. Śmiech ich był również charakterystyczny, nikt nie mógłby zrozumieć, co właściwie było jego przyczyną: gniew, radość czy naiwność?

Gdy przechodzili przez nawę kościelną, syn jak małe dziecko tuż za matką mimo swych lat dwudziestu, czynili wrażenie kury z kurczęciem.

Jakie było ich życie i to wiecznie samnasam nikt nie wiedział. Podwoje białego domu, rzadko się otwierały dla nielicznych gości, a służba odznaczała się małomównością.

Widywano ich czasami spacerujących pod rękę, po ogrodzie lub po salonie, dopóki nie spuszczono rolet. Oto i wszystko co podpatrzeć mogli ciekawi sąsiedzi.

Zdaje się, że byli dla siebie całym światem, nie dbając pozatem o nic i o nikogo. I przypuszczenie to było zupełnie słuszne, a jednak w stosunku tych dwóch osobników, było coś, co trudno dawało się wytłómaczyć, nawet najsubtelniejszą analizą psychologiczną.

Młodzieniec przyszedł na świat napiętnowany, był dzieckiem nieszczęścia. W jego żyłach płynęła krew zdegenerowana, w jego istocie tkwił zarodek gryzący, jego duszę nurtował wrzód, wytworzony ze zgangrenowanej rasy przodków. Był przeklęty, przeklęty nieodwołalnie w łonie matki jeszcze. Wszystkie ułomności atawistyczne rosły z nim i potęgowały się od dzieciństwa, pomimo walki jego matki, przedsięwziętej przeciwko strasznym następstwom atawizmu.

Czasami napastowała go myśl jakaś męcząco uparta, naprzykład rachowania bez końca do trzech. Innym razem znowu ogarniała go nieprzeparta ochota przebierania nogami, najpierw nogą prawą, potem lewą, a potem dwiema jednocześnie. Podczas burzy urągał niebu, wyzywał Boga, aby za chwilę modlić się gorąco i błagać o przebaczenie i usunięcie burzy choćby w natychmiastowym gromie.

Matkę kochał namiętnie, ale była to miłość nienaturalna, chorobliwa, objawiająca się konwulsyjnemi wybuchami czułości, a jednocześnie w chwili najserdeczniejszej pieszczoty odwracał się od niej z niesmakiem.

Był to właśnie pierwszy groźniejszy objaw choroby. Potem zaczął lubować się w dokuczaniu matce, wyszukując najdrażliwsze strony jej duszy, aby rzucić ją bez miłosierdzia. Doświadczał wtedy niewypowiedzianej rozkoszy, a cierpiał jednakże w danej chwili więcej niż ona sama. Pomimo to musiał jej dokuczać, jakby to nie on, lecz inne *ja* jego istoty było tak okrutnie złośliwe.

Stan ten zamienił się następnie w cichą, głuchą nienawiść, ujawniającą się czasami pomimo wyrzutów sumienia i pogardy dla samego siebie.

III.

Pewnego wieczoru deszcz bił o szyby, wiatr zawodził żałośnie, a oni w jasnym i oświetlonym pokoju siedzieli blizko siebie, matka w fotelu, a syn na małej ławeczce u jej nóg. Naraz podniósł na nią wzrok, gdy przełykała spożywany owoc. Nadludzkim prawie wysiłkiem woli zerwał się z miejsca i nie patrzył na matkę pomimo siły nieprzezwyciężonej, ciągnącej wzrok jego w stronę gardła jedzącej. W chwili tej, myśl jedna, straszna, wkradła się do tego biednego umysłu. Dzień i noc widział bezustannie przełyk gardłowy tej, która była najdroższą cząstką jego duszy, a jednocześnie płakał na widok zmarszczek na ukochanej twarzy.

Pewnego dnia styczniowego wróciwszy z ogrodu zastał matkę leżącą na szeslongu, z oczyma przymkniętemi, zdawała mu się uśpioną.... Ujrzał cienką, długą szyję.... przysunął się jak kot czyhający na mysz, i w chwilę później ścisnął silnie tę szyję obnażoną.

Kobieta wstrząsnęła się konwulsyjnie i spojrzała z przerażeniem, on nie rozumiał, nie czuł, nie pojmował nic — jego dusza i ciało nie istniały zupełnie, tylko dwie pięści ściskające jakąś masę... Jak długo to trwało, minutę czy godzinę?.... Nakoniec spostrzegł, że ciało ofiary było nieruchome.

Zdawało mu się wtedy, że się w nim coś gotuje, oddech zapiera i że coś trzeba przytłumić; przybrał więc wesołą minę i począł się śmiać mrucząc wyrazy niezrozumiałe. Naraz zadrżał, zląkł się ciemności i zapalił lampę. Nogi mu drżały, głowa pałała, a serce biło gwałtownie i gwiżdżąc wybiegł z pokoju.

Zatrzymał się na ścieżce ogrodowej, pytając sam siebie, dlaczego biegnie tak prędko, zamiast iść powoli i dlaczego ma głowę odkrytą. Na ziemi było ciemno, ale niebo poczęło się skrzyć tysiącami światełek, na zachodzie widniała gwiazda wieczorna, a tam, gdzie słońce się skryło, zaokrąglała się żółtawo-zielona linia.

Z gwałtownem łkaniem zbiegł nieszczęśliwy w dolinę, potem znów wdrapał się na wzgórze, gdzie dochodziły światełka z chat położonych na dole. Światełka te przypomniały mu oczy ludzkie od łez zaczerwienione, lubo błyszczące gniewem. Jęknął głośno, a potem krzyknął przeraźliwie. Pragnąłby pogrążyć się w nicość i w nieskończoność, obręcz rozpalonego żelaza ścisnęła mu gardło... Przypomniał sobie pacierz odmawiany z matką i zaczął się modlić... zdało mu się, że jest wysłuchany...

Łuk zielono żółty rósł i zbliżał się ku niemu, przybierając rozmiary wielkiego portyku. Przekroczył go i znalazł się w olbrzymiej przestrzeni, a portyk przeobraził się w olbrzymi zielono-żółty tulipan z czarnemi brzegami, ale gdy chciał go zerwać i włożyć do butonierki, spostrzegł, że to była martwa głowa kobiety, jaśniejąca wewnątrz pleśnią fosforyczną, na głowie powiewał czarny żałobny welon, przypięty do czoła wspaniałym kamieniem, przypominającym gwiazdę wieczorną.

I od tej pory w szpitalu, — kończył smutne opowiadanie malarz, — zrywa on ciągle tulipany żółto-zielone z czarnemi brzegami i układa z nich bukiet.

Czyni to wtedy, gdy jest spokojny. Ale gdy widzi białą kobietę z martwą głową, błyszczącą wewnątrz fosforycznym blaskiem, trzeba mu wkładać kaftan bezpieczeństwa.

W krótkich chwilach przytomności umysłu opowiada szczegóły okropnego wieczoru, w którym zamordował swą matkę, ale dziś, jak i wtedy, nie wie dlaczego to uczynił...

G. B.

Dumania dziewczęcia.

Wesołe jak niebios tęcze,
Srebrne, jak nici pajęcze,
Bieluchne, jak mgły zarania,
Myśl moja snuje dumania...

I dla mnie słonko miłości zaświeci,
I do mnie luby przyleci,
Piękny, jak anioł, a jak król bogaty...
Cały we złocie, całe w srebrze swaty...

Idzie do matki, do ojca z pokłonem,
Ja patrzę zdala, z czołem zapłonionem...
A!... już wesele... jedziemy oboje!...
Zamki... pałace... wszystko, wszystko moje!

Wchodzim w płonące od świateł komnaty...
Zewsząd okrzyki, oklaski, wiwaty!
A on nie patrzy, a on nic nie słucha...
Wzrok wpoił we mnie... coś szepcze do ucha...

Dalej!... a!... dalej!... Pękła nić pajęcza!...
W szarym obłoku utonęła tęcza,
Białą mgłą słońca blaski się okryły...
Sen to był tylko... sen!... ale tak miły!

J. I. Kraszewski.

Kronika.

Poznań należy do miast, które w ostatnich 30 latach bardzo znacznie zmieniły swą powierzchowność. Nikt nie zaprzeczy, iż po obu stronach ulic, starannie i porządnie utrzymywanych, wznoszą się dziś o wiele piękniejsze domy, niż przed kilkudziesięciu laty, że przy rzęsistem wieczornem oświetleniu widnieją piękne, co się zowią, wystawy najrozmaitszych magazynów, że wszystko to wraz z ruchem elektrycznym nadaje Poznaniowi pozór miasta, idącego z postępem Europy zachodniej i stosującego się do wymagań cywilizacyi.

A jednak!

Wszak to każda kultura i cywilizacya stara się nie tylko o to, ażeby ścieki uliczne nie wydawały brzydkiej woni, ażeby domy były świeżo otynkowane i pomalowane, ażeby na różnych placach było pod dostatkiem domków bezpłatnej i płatnej wygody publicznej, słowem nie tylko o to, czego żądają bieżące czasy, lecz także o to, co pozostało zabytkiem z przeszłości.

Tymczasem w Poznaniu nie widać bardzo tego poszanowania dla przeszłości, jakiego kultura wymaga, a najświeższym dowodem słuszności naszego twierdzenia jest sam nasz sędziwy ratusz. Przez kilka tygodni, czy nawet miesięcy, jacyś artyści pracowali na rusztowaniach, mając za zadanie odświeżyć fasadę. Ogólne było zaciekawienie, co to z tego będzie, a osobliwie, czy podług starych podobizn odświeżą na froncie wizerunki monarchów. Dziś rusztowań już nie ma — snadź wielkie zadanie już spełnione, a oczom widza odsłaniają się na szarem tle wielkie białe plamy, jako ślady artystycznej pracy. Na wizerunku jednego z królów naszych przybito tablicę z napisem „Alter Markt 1—4“.

Nie zgadza się to ani z poszanowaniem przeszłości, ani z estetyką, a jedno i drugie należy także do wymagań prawdziwej kultury.

Ale myśmy już przywykli do tego, że kultura pruska z szczególną rozkoszą niszczy to, co nam przeszłość pozostawiła. Toż kronika ostatnich tygodni mnóstwo zawiera szczegółów z wojny przeciwko nazwiskom polskim o niemieckiem brzmieniu. Znamy obywatela 60-letniego prawie, który zawsze pisał się Szulc, a któremu niedawno — podobnie jak imiennikom jego z Nowej i Wrocławskiej ulicy, wytoczono proces o zmianę pisowni nazwisk. Świeżo znowu rozegrała się sprawa przeciwko obywatelowi Kurczewskiemu, dla którego obmyślano na chrzciny pruskie nazwisko Kurtze. Że jednak chrześnię od 1848 nie pisało się nigdy inaczej, jak „Kurczewski“, więc poprzestać musiano na dobrej pruskiej chęci i p. Kurczewski proces wygrał.

Tak to kultura pruska się popisuje. Coraz więcej też na te i inne świetne próbki cywilizacyi zwraca uwagę prasa europejska.

Różne dzienniki angielskie, francuskie i włoskie rozpisały się z okazyi toruńskiego procesu, wyrażając zdumienie swoje nad prześladowaniem i karaniem młodzieży polskiej za to, że się garnie potajemnie do nauki ojczystych dziejów i literatury.

Taka kultura, jaką mamy sposobność odczuwać w zaborze pruskim na naszej skórze, nawet w Azyi dalekiej nie może imponować.

Zaiste, gdzie się spojrzy, tam widać często sprzeczności niepojęte. Oto n. p. tydzień upływający jest tygodniem przeprowadzek. Policyjne przepisy żądają, ażeby wszelkie pomieszkania zaraz pierwszego dnia dla nowych lokatorów były wypróżnione, a jest to podług wszelkich pojęć nie możliwe. Nie ma tylu rąk do pracy, tylu wozów ciężarnych, ani koni, ażeby przez pół doby wszystkich przeprowadzek w Poznaniu dokonać.

Ale, że policya przepisała, więc każdy kto może wdziera się do nowego pomieszkania, nie pytając wcale, czy dawniejszy lokator jest w równie szczęśliwem położeniu, iżby do południa dnia 1-go mógł się uskromnić ze wszystkiem. Ztąd zatargów, zobopólnych przykrości i wymyślań co nie miara; ztąd też widzi się na ulicach, jak dwa średnie lub nawet słabe konie siłą się pomimo chłost daremnie, aby uciągnąć z miejsca dwa olbrzymie z sobą sprzężone meblowe wozy. Jest to niezgodne z cywilizacyą dręczenie zwierząt, ale — konieczne; bo gdzież znaleźć dostateczną ilość koni w tym dniu przymusowym przeprowadzkowego ruchu? Każda przeprowadzka nikomu miłą być nie może, a pocóż ją oprzykrzać jeszcze zbyt surowymi terminowymi przepisami?

Przez dwa tygodnie stał na placu Wilhelmowskim wielki teleskop, wycelowany ku rozmaitym planetom. Patrzano przez niego w słońce, księżyc i gwiazdy różne, większe i mniejsze, za opłatą 10 lub 15 fenygów. Gdyby tak z tych planet można wypatrzeć inną jaką kulturę niż ta, o której mowa powyżej i gdyby ztamtąd kultura jaka odmienna, prawdziwsza i lepsza znalazła na naszym globie, a szczególnie w zaborze pruskim, zastosowanie! O, ileby takie astronomiczne obserwacye z placu Wilhelmowskiego więcej miały wartości! Ale widać było tylko powiększone światy w bezmiarze wszechświata, jasno świecące, ale nie dość jasno dla tych głów szowinistyczno-hakatystyczno - pruskich, zagwożdżonych urojeniem, że ten wszechświat specyalnie jest dla Prusaków i że oni tylko nim rządzić powinni.

Tymczasem w tych przestworzach bez końca wszystkie ludy widzą wszechmoc Boga, panującą nad wszystkiem, zdolną zmienić każdy porządek rzeczy i skruszyć więcej nawet, niż marne hakatystyczne robactwo.

Ale choć sprawiedliwy ten Bóg, przecież — jak mówią częstokroć nie ry-

chliwy, więc do długiego pasma klęsk ze strony pruskiej nam zadawanych przybywają prawie co dzień nowe. I tak świeżo doniesiono z Brodnicy, iż w tamtejszem gimnazyum dziesięciu polskich sekundanerów odsądzono od uprawnienia do jednorocznej służby. Za miłość swego narodu, za umiłowanie ojczystych dziejów i literatury będą więc biedacy zmuszeni służyć po dwa lata. Czy ci, którzy spowodowali takie upośledzenie, sądzą, iż złamią przez to polską duszę młodzieży, że raczej nie usposobią jej do głębokiej niechęci i nienawiści? A czy niechęć ta i nienawiść nie będzie „duchem Banka“ w szekspirowskim dramacie, jak nazwał wzmagające się poczucie polskości dziennik włoski „Osservatore cattolico?“

Tak, zaprawdę, jak duch Banka wydobywa się z pośród klęsk i upośledzeń duch polski z coraz żywszą świadomością swych praw a doznawanych krzywd. Ale w chwilach takich razi tym bardziej, gdy znów przy rozpoczętym sezonie wdzierają się liczne jednostki polskie do wnętrza niemieckiego teatru, niepomne, że wszystko, co polskie, wyrzucono za progi tego przybytku sztuki. Na wagnerowskim „Lohengrinie“ podobno znowu mnóstwo było naszych „rodaków“ i „rodaczek“, gotowych wpraszać się bezmyślnie i bez ambicyi tam nawet, gdzie polskość znieważają.

Takie jednostki z duchem polskiego „Banka“ oczywiście nic nie mają wspólnego. *Jochlik.*

TEATR.

Poznań.

Zawitały do nas znowu te wędrowne ptaki — i zrobiło się nam raźniej i weselej na duszy. Przynieśli ze sobą powiew świeżości i swobody. Życie zawrzało w opustoszałym przez lato gmachu sztuki naszej, i udzieliło się nam. Witamy Cię, Drużyno artystyczna! Niesiesz nam w dani zasób łez i śmiechu i artystycznych uniesień i dar droższy nad to, czem nas sztuka Twoja obdarzy. W gmachu zajętym przez Ciebie panuje język nasz, odzwierciedla się życie nasze polskie i przechowują tradycye narodu. W Twoim przybytku oddychamy powietrzem swojskiem. A jest ono dla nas czemś tak niezwykłem a zarazem tak drogiem, że upaja nas i porywa. Łzy radości cisną się do oczu — gorzkie łzy...

Przez lato całe pracowano nad odnowieniem teatru. Nie szczędzono zachodów i materyalnych ofiar. Zato dziś, kiedy całe to dzieło odrodzenia dokonane, widzimy, że warto było pracować, aby stworzyć przybytek tak jasny, świeży i gustowny. Nie poprzestano na samem odświeżeniu gmachu, — uczyniono wiele uzupełnień. Wskutek nadania jaśniejszego tła widowni, dodania pozłoceń i malowideł wnętrze teatru przybrało wyraz nowy: jasny i wytworny. Zaprowadzono wyłącznie elektryczne oświetlenie.

Tak więc siedząc w teatrze przed rozpoczęciem pierwszego, wtorkowego przedstawienia oczekiwaliśmy w nastroju estetycznego zadowolenia podniesienia zasłony (n. b. niestety tej samej starej, dobrze nam znanej, poczciwej z ratuszem i częścią starego rynku). We wtorek przedstawiła się nam część artystycznych sił, któremi scena nasza na ten sezon rozporządza. Z małemi wyjątkami wszystkie nowe twarze. Niema Wysockich, Knapczyńskich, Jakubowskich... Pomimo to zdaje się, że nowe siły z powodzeniem zastąpią dawnych naszych znajomych i ulubieńców. O ile z pierwszego przedstawienia, na które złożyły się trzy jednoaktówki, sądzić można, — miał p. dyrektor Ryger w wyborze artystycznych sił niezwykle szczęśliwą rękę. Pierwsze przedstawienie świeżo zebranej, niezgranej z sobą trupy zdradzało nadspodziewanie mało tych braków, których w takiem pierwszem przedstawieniu nieomal uniknąć nie można. Po wielu artystach, z nowych wspomnę tylko panie: Dzierzanowską, Hartmanową, Stogniewską, Micińską, oraz panów: Klimontowicza, Stradiota, Zejdowskiego, — na pierwszy rzut oka poznać rutynę. I o ile z jednego przedstawienia wróżyć można, wróżymy panu Klimontowiczowi, że po kilku tygodniach obdarzy go publiczność w tej samej mierze swoją sympatyą, jaką darzyła ongi p. Knapczyńskiego. W panu Zejdowskim napotykamy już wytworzony i ustalony talent. Talentu równej miary w kierunku uzdolnienia p. Zejdowskiego nie widzieliśmy w przeszłym roku na scenie naszej. A p. Stradiotowi już przez to samo wdzięczni jesteśmy, że uwolnił nas od bohatyrskiej postaci p. Wysockiego. Siły te pod umiejętną i dzielną ręką p. dyrektora Rygera stworzą niewątpliwie wyborny ensemble, choć praca, która czeka p. Rygera, nim doprowadzi do wspomnianego celu — nie jest do pozazdroszczenia.

Grano trzy jednoaktówki. Pierwszą była „Dzika różyczka“ Blizińskiego. W starym, niegdyś zamożnym, dziś wskutek nieszczęść, które na kraj spadły z rokiem 31-ym, podupadłym dworku szlacheckim, żyją dwa pokolenia. Pierwsze przedstawia para staruszków. On weteran, były porucznik wojsk polskich. Drugie pokolenie to dwie ich wnuczki. Pokolenia średniego niema. Rodziców dwóch wnuczek wywieziono na Sybir. Tę atmosferę, która stworzyła ze szlacheckiego dworku „poczciwe gniazdo“, oddano znakomicie. Podtrzymał ją p. Ryger sam w roli starego weterana. Hrabia Ściborzycki, młody pędziwiatr, który wchodzi do domu tego dla rozrywki — nawrócony zostaje pod wpływem tego poczciwego gniazda i jest szczęśliwy, że może z niego dostać żonę, ulegając urokowi młodszej wnuczki, „dzikiej różyczki“. Oto krótka treść.

Następnie odegrano komedyę Fredry: „Odludki i poeta“ i Anczyca: „Chłopów arystokratów“.

Ali.

W Warszawie zajęto się obecnie sanacyą organizacyi i finansów teatrów rządowych. Reforma w pierwszym rzędzie ma objąć balet, który za czasów poprzednich dyrekcyi takie pochłaniał sumy, że brakło pieniędzy na utrzymanie dramatu i komedyji. Również też i włoscy artyści w operze warszawskiej ze szkodą polskich pobierali zbyt wygórowane honorarya. Ma się to więc teraz radykalnie zmienić.

W Łodzi otwarto nowy teatr polski. Na otwarciu był obecny polski mistrz pióra, Henryk Sienkiewicz.*)

W Krakowie sezon teatralny rozpoczął się już od paru tygodni. Repertuar wprawdzie jest dobrany, ale bardzo się daje uczuć brak pierwszorzędnych artystów.

We Lwowie dyrekcya przygotowuje do wystawienia szereg sztuk oryginalnych, napisanych przez naszych autorów.

Teatr w Sosnowcu (Król. Polskie) istniejący od lat dziesięciu, coraz lepiej się rozwija. Obecnie kierownikiem artystycznej drużyny jest dyrektor Feliński. Teatr sosnowiecki na sezon bieżący pozyskał sympatyczną i zdolną artystkę krakowską, pannę Miriam-Hocke, która bezwątpienia przyczyni się do ożywienia repertuaru.

Nasze illustracye.

Kurdowie obozujący.

(Do illustracyi albumowej).

Kurdowie są narodem pochodzenia indogermańskiego, jak to już rysy twarzy wskazują i zamieszkują kraj położony między Persyą a turecką Azyą mniejszą. Prowadzą oni w większej części życie koczownicze, trudniąc się przytem grabieżą i rabunkiem.

Nominalnie są oni w mniejszej części (750.000) poddanymi Persyi a w większej (1.500 000) poddanymi Turcyi, lecz w gruncie rzeczy nikogo nie uznawają za swego zwierzchnika. To też są postrachem sąsiadów, a najwięcej dają się we znaki Armeńczykom.

Kurdowie, jako fanatyczni machometanie nienawidzą chrześciańskich Armeńczyków; rok rocznie też rozbrzmiewają po całym świecie grozą przejmujące wieści o rzeziach bezbronnych wyznawców Chrystusa, a i obecnie krzyki rozpaczy mordowanych wołają o pomstę do nieba. Francya jako protektorka chrześcian wschodnich niejednokrotnie wywierała swój wpływ polityczny na

---

*) Patrz artykuł p. t. „Z chwili“. — Przyp. Redakcyi.

Turcyę, celem dotkliwszego ukarania Kurdów, lecz nie zawsze ze skutkiem. I dzisiaj zamierza ona upomnieć się za krzywdy wyrządzone Armeńczykom przez Kurdów i w tym celu rozpoczęła już akcyę dyplomatyczną. Czy ze skutkiem — zobaczymy. *S. Wcz.*

* * *

Polowanie na lwa w Afryce, zillustrowane na stronie 1077-ej, krwawo się kończy. Raniony lew rzuca się w bólu i wściekłości na strzelca, przegryza mu gardło i pije jego krew jeszcze ciepłą. Towarzysz biegnie strzelcowi na pomoc i celnym strzałem zabija lwa, ale zapóźno, bo strzelec ducha już wyzionął.

* * *

Walka byków, która była już znaną u starożytnych Rzymian, jest w Hiszpanii i w Portugalii nadzwyczaj rozpowszechniona i zalicza się tamże do igrzysk ludowych. Na naszej illustracyi, zamieszczonej na stronie 1080-ej, zobrazowana jest chwila, w której młody byk, wypuszczony na arenę, staje do walki zapaśniczej z tak zwanym *toreadorem*.

—ski.

Czytelnicy! Pamiętajcie, że mamy już od długiego czasu trzech redaktorów w więzieniu, nie opuszczajcie więc „Pracy“ w tej ciężkiej godzinie! Dajcie dowód zdwojonej energii i siły! Z wytrwałością rozszerzajcie pismo nasze, przysparzajcie nam nowych czytelników!

Prosimy usilnie wyciąć kwit abonamentowy i podać go znajomemu, z gorącą zachętą do przedpłaty. — Niech „Praca“ znajdzie przystęp do każdego domu! Niechby sobie każdy z Czytelników poczytał za obowiązek pozyskania choćby tylko jednego nowego abonenta, a byłoby to najlepszą i najgodniejszą odpowiedzią za nasze cierpienia.

Czytelnicy! Liczymy na Wasze poparcie.

Już czas wielki zapisać

„Czytelnię Polską“

z illustracyami

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1901 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 14.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fenygów.

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

97 hal.

Pod opaską: kwartalnie 1,10 mrk., czyli 1 koroną 32 hal.

Początek rozpoczętej w 38-ym zeszycie bardzo pięknej i nader zajmującej powieści oryginalnej, osnutej na tle życia mieszczaństwa warszawskiego i bogato illustrowanej p. tyt.

„Górka rzemieślnika“

oraz początek drukującej się sensacyjnej powieści M. Jokay'a p. tyt.

„Czarne djamenty.“

otrzymają nowo przybyli abonenci gratis za nadesłaniem na dowód kwitu abonamentowego (pocztowego) oraz dziesięciofenygowego znaczka pocztowego na porto.

Już w następnym zeszycie rozpoczniemy w *„Czytelni Polskiej“* bardzo senacyjną i nadzwyczaj interesyjącą kilkotomową powieść oryginalną — szkic historyczny przez Jana Nepomucena Czarnowskiego p. t.

„Biały Grzegorz.“

Nowoprzybyli abonenci otrzymają początek tej powieści gratis.

Sądzimy, że zaprowadzone ulepszenia i illustracye przysporzą *„Czytelni Polskiej“* nowe liczne szeregi zwolenników.

My dajemy ideę, dajemy pomysł, od Was i Waszego poparcia, Czytelnicy, zależy, czy pomysł ten przerodzi się w nową, skuteczną dźwignię polskości.

A więc — czynnego poparcia jak najwięcej!

Redakcya.

Wiadomości.

— **W mieście** naszem bawi wybitny dziennikarz i publicysta p. Krzywoszewski z Paryża.

— **Agentura** „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ w Rauxel znajduje się u p. *J. Terakowskiego*, handel kolonialny, Bahnhofstr. 118, naprzeciw kościoła.

— **Nową agenturę** „Pracy“ założyliśmy w Kilonii u p. *P. Redmera* przy Ringstr. 42 w podwórzu.

— **Program** egzaminów dla elewów i urzędników gospodarczych brzmi:

1) *Elewi gospodarczy* poddawać się będą egzaminowi ustnemu z następujących przedmiotów:

a) uprawa ziemi i plantacya roślin;
b) wychów i paszenie inwentarza, oraz pierwsza pomoc w razie choroby lub wypadku;
c) organizacya gospodarstwa: ile można wymagać pracy od robotników i zaprzęgu w poszczególnych działach gospodarstwa; sposób prowadzenia pojedyńczej książkowości;
d) nauki przyrodnicze: ogólna różnica pomiędzy sztucznym a naturalnym nawozem, pogląd na używalność obu;
e) umiejętność obchodzenia się z maszynami i narzędziami rolniczemi.

2) *Egzamina dla urzędników gospodarczych* odbędą się również z działów egzaminacyjnych wymienionych powyżej, lecz wymagania stawia się znacznie wyższe i żąda się obok egzaminu ustnego, pracy piśmiennej.

Na życzenie kandydata odbyć się mogą także egzamina z fizyologii roślin i zwierząt, jako też z gorzelnictwa.

Celem przygotowania się do egzaminów, polecamy następujące podręczniki w najnowszych wydaniach:

Brownsford: Podręcznik do żywienia zwierząt gospodarskich.
Łyskowski: Gospodarz — opracował Bolesław Bardzki.
Mukułowski: Popularny podręcznik chemii rolniczej.
Tomaszewski: O uprawie roli i t. d.

Egzamina odbędą się podczas trzydniówki dla urzędników gospodarczych w miesiącu **styczniu 1902 r.**

Ostateczny termin do zgłoszeń, które przesłać należy na ręce Sekretarza Centralnego Zarządu p. Kaźm. Koszutskiego, Poznań, ul. Półwiejska nr. 5 I p., wyznaczony na dzień **31-go grudnia 1901 r.**

Zgłaszający się do egzaminu, powinien dołączyć do wniosku:

1) metrykę, 2) świadectwo szkólne, 3) życiorys, własnoręcznie spisany, a dalej:

elewi: świadectwo, z odbytej dwuletniej praktyki z wyraźną wzmianką o nieskazitelnem prowadzeniu się;
urzędnicy: świadectwa z posad dotąd zajmowanych.

Zarząd Centralnego Tow. Gospodarczego w W. Księstwie Poznańskiem.

— **Odezwa** do wszystkich serc Ojczyznę i Kościół miłujących. — Wiadomo od dawna jak bardzo dotkliwym, mianowicie we wschodniej Galicyi, jest brak kościołów łacińskich, czyli polskich. Dotąd jeszcze są liczne takie wsie i osady polskie, które o 2, 3, 4, 5, a nawet 6 mil są oddalone od swych kościołów parafialnych polskich. Stało się to tem łatwiej, że dla ratowania obrządku łacińskiego we wschodniej Galicyi nic się zgoła nie robiło od całego szeregu lat — gdy natomiast pobratymcy nasi Rusini mają w każdej niemal wsi swoją cerkiew, niekiedy mają bardzo nawet okazałe cerkwie, stawiane przeważnie groszem polskim, a mają przy nich stałych księży proboszczów ruskich, tych zaś ostatnich nie rzadko więcej jest, niż rzeczywista potrzeba dusz wymaga, a do tego opłacani i utrzymywani są z funduszu religijnego polskiego!

To też taki stan rzeczy, a powiedzmy prawdę, to zapomnienie ojców naszych, oraz i nasze własne, mszczą się okropnie w obecnych zwłaszcza czasach na nas Polakach we wschodniej połowie kraju.

Czas tedy najwyższy naprawić błędy przyszłości, a zabezpieczyć sobie, o ile się jeszcze da, samąż przyszłość. Lecz jakim sposobem?

Oto budować trzeba koniecznie we wschodniej Galicyi jak najwięcej kościołów łacińskich i tworzyć jak najwięcej nowych parafii — a choćby tylko tak zwanych expozytur polskich, a przytem *zakładać nowe szkoły ludowe polskie* i około nich grupować lud polski we wschodniej połowie kraju. Tym tylko sposobem zdołamy utrzymać lud nasz przy obrządku łacińskim i przy narodowości naszej.

Właśnie o utworzenie jednej takiej nowej parafii łacińskiej czyli polskiej chodzi obecnie, ale do tego dzieła potrzeba pomocy rodaków. Rzecz ma się tak:

W starostwie *Bóbrka*, przy szlaku kolei *Lwów-Czerniowce*, 3 kilometry od stacyi *Wybranówka*, leży wieś *Bryńce zagórne*, bardzo uroczo wśród lasów i wzgórz położona, własność przezacnego pana Stanisława Zwolskiego. Liczy ona 400 dusz łacińskich, lecz do kościoła parafialnego polskiego *w Sokołówce* ma 2 mile fatalnej, a w czasach roztopów wiosennych i jesiennych nieprzystępnej prawie drogi, gdy natomiast Rusini mają na miejscu własną cerkiew i proboszcza ruskiego stałego. Nadto obok Bryniec zagórnych leży 7 innych wsi do 4 różnych parafii polskich należących, które w podobnem oddaleniu znajdują się od swych kościołów parafialnych polskich.

Oto powstała zbożna myśl, aby z tych 8 wiosek utworzyć nową polską parafię z kościołem w Bryńcach zagórnych, jako w centrum. Do tego celu potrzeba jednak zbudować kościół murowany i zapewnić utrzymanie dla stałego księdza polskiego.

I obecnie myśl ta *patryotyczna i religijna* zarazem, zaczyna dojrzewać, dzięki przedewszystkiem przezacnemu miejscowemu dziedzicowi, wspomnianemu wyżej panu Stanisławowi Zwolskiemu, który na ten cel ofiarował już 7 morgów dobrego gruntu, podarował plac pod budowę kościoła, nadto dom murowany przeznaczył na mieszkanie dla księdza,

tudzież złożył 1000 koron. Oprócz tego inni przezacni dobrodzieje, jak sąsiedni księża ob. łac. i lud odnośnych 8 wsi złożyli dotąd 3000 zł. w. a. i obiecali pomoc na przyszłość oraz robociznę za darmo.

Tak więc sprawa ta, jak dotąd pomyślnie stoi, ale do jej wykończenia potrzeba jeszcze pomocy rodaków, a w szczególności przezacnych obywateli i dostojnych księży ob. łać. O tę tedy pomoc patryotyczną i religijną usilnie prosimy. Każdy datek, choćby najmniejszy, chętnie przyjmiemy i za dobrodziejów naszych modlitwą wywdzięczać się będziemy.

Apelujemy więc gorąco do serc Waszych P. T. Rodacy, zwłaszcza z wyższych stanów, my ubodzy przyszli parafianie z Bryniec zagórnych: nie opuszczajcie nas! dopomóżcie nam, ach dopomóżcie nam, do wybudowania Świątyni Pańskiej, gdziebyśmy w języku ojczystym i z pieśnią polską na ustach mogli chwalić Najwyższego. Już nas w tych stronach tak wielu bardzo straconych zostało dla Ojczyzny, lecz my się ratować chcemy, zatem podajcie nam pomocną rękę P. T. Rodacy. Niech nikt nie czyta tej odezwy obojętnie, ale czem kto może, niech nam dopomoże.

Składki na ten cel najlepiej wysyłać wprost do Przewielebnego Księdza *Wojciecha Wojtanowskiego*, proboszcza ob. łać. *w Mikołajowie nad Dniestrem.*

Delegaci gmin przyszłej parafii polskiej w Bryńcach zagórnych (poczta Wybranówka):

Jan Hrabal, Piotr Bielawski, Ludwik Papierowski, Franciszek Tarnowski, Franciszek Szlachetka, Józef Jabłoński, Jan Mielnik, Walenty Bożykowski.

— **Redaktor** odpowiedzialny „Dziennika Poznańskiego“, p. Ludwik Hojnacki, skazany został za obrazę nauczyciela Deckerta z Kościana, której oskarżony rzekomo dopuścił się w artykule p. t. „Hakatyzm cmentarny“ na 300 marek kary. Prokurator wniósł o 2 miesiące więzienia.

— **Dnia** 27-go z. m. przed tutejszą izbą karną stawali kupiec p. Kierski i agent p. Swinarski, oskarżeni o sfałszowanie dokumentów, oszustwo i karygodną chciwość. Kupiec p. Kierski podpisał na wekslu nazwisko swego krewniaka, poczem poszedł do kapitalisty p. L. i oświadczył, że jeśli dostanie jeszcze jeden podpis, to Bank Przemysłowców wypłaci mu na ów weksel 10,000 mr., a tymczasem prosi p. L. o pożyczenie 300 mr., które odda natychmiast, gdy z Banku pieniądze otrzyma. Na podstawie tego oświadczenia p. L. dał żądaną kwotę. Gdy następnie od p. Kierskiego nie mógł pożyczonych pieniędzy wydostać, udał się p. L. do agenta p. Swinarskiego, u którego p. Kierski był zatrudniony i prosił go, aby mu z pensyi pewną kwotę odciągał na umożenie długu. P. S. atoli odrzekł, że tego nie zrobi, bo płaci p. K. tylko 125 mr. miesięcznie, a resztę pensyi wypłaca jego żonie. Izba karna skazała za oszustwo kupca p. Kierskiego na 3 miesiące więzienia, agenta p. Swiniarskiego za pomoc w przestępstwie na 2 tygodnie więzienia. Sprawa ta jest przedmiotem dyskusyi w całem mieście, ponieważ zasądzone osobistości są w szerszych kołach znane.

— **Dnia** 26-go z. m. stawali przed izbą karną w Gnieźnie: 1) pani Lange z Gniezna, właścicielka księgarni i 2) p. J. W. Nowak, księgarz ze Starogardu w Prusach Zachodnich, oskarżeni o rozszerzanie „Historyi polskiej Antoniewicza“, w której znajduje się pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Oskarżonych uwolniono od winy i kary.

— **Pan** Władysław Marcinkowski, mistrz stolarski w Poznaniu, przy ulicy Długiej nr. 11, podejmuje wszelkie prace w zakres stolarstwa wchodzące. Specyalność: urządzenia zakładowe podług najnowszych rysunków.

— **Pan L. Lewandowski** otworzył w mieście naszem z dniem 1-go b. m. przy ulicy Żydowskiej i narożniku Starego Rynku skład towarów kolonialnych, mąki, krupów i warzywa. Polecamy nowe przedsiębiorstwo względom szanownej Publiczności. Szcześć Boże rodakowi!

— **Zakład** pracy domowej w Sremie rozpoczyna nowy kurs dnia 23-go b. m. Prospekty na życzenie rozsyła przełożona, pani F. Szczerbińska.

— **Powrócił** dr. Zakrzewski, specyalista w chorobach żołądka i kiszek. Konsultuje przy ulicy Rycerskiej 15. I.

— **Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze złożył w dalszym ciągu p. I. W. z prowincyi 1 mrk.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 597 mrk. 34 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Slub.** Dnia 24-go z. m. pobłogosławiony został w kościele Farnym w Poznaniu związek małżeński pomiędzy p. Franciszkiem Nowakiem, kupcem z Poznania, a panną Rozalią Szczesnowską z Poznania. Szczęść Boże młodożeńcom!

— **Gostyn.** Dnia 30-go z. m. pobłogosławionym został w tutejszym kościele parafialnym związek małżeński pomiędzy panną Jadwigą Szwarcówną, córką obywatela śp. Szwarca i jego małżonki Magdaleny z Hasińskich, a panem Romanem Fischbachem nauczycielem głuchoniemych z Poznania.

Szczęść Boże młodej parze!

— **Ilmenau.** W turyngskim wyższym technicznym zakładzie naukowym złożyli egzamina i uzyskali: dyplom inżyniera-elektrotechnika p. Leon Fiedler z Królestwa; świadectwa techników maszynery pp.: Janusz Czarliński i Władysław Mizerski z Poznania, oraz p. Ryszard Wojciechowski z Królestwa; świadectwo elektrotechnika p. Stefan Tabulski z Poznania.

— **„Ilustracya Polska.“** Odebraliśmy pierwszy numer tego nowego ilustrowanego tygodnika, który wydaje w Krakowie p. Ludwik Szczepański. Format jest arkuszowy. W tego rodzaju pismach, które poświęcone są wypadkom chwili obecnej, obrazki stanowią rzecz najważniejszą. Jest ich w pierwszym numerze „Ilustracyi“ mnogo i przeważnie nieźle wykonane i zajmujące. Widzimy całą galeryą IV stałej delegacyi zjazdu techników polskich i obu komitetów zjazdu przemysłowego: krakowskiego i lwowskiego. Czytamy artykuł o krzyżu na szczycie Giewontu. Jest on ze sztab żelaznych, więc ażurowy, mało go też podobno z dołu widać, choć jest olbrzymi, bo po nad ziemią 15 metrów sterczy. Zajmujące są portrety genialnego Szczepanika i jego urodziwej narzeczonej, panny Dzikowskiej z Przemyśla, oraz malarza Włodzimierza Tetmajera, w otoczeniu całej rodziny: żony włościańskiej córki z Bronowic i sześciorga drobnych dzieci, które wszystkie po wiejsku ubrane. Najstarszy chłopczyk z piórkiem na rogatej czapce, butnie wygląda. Jest portret Reymonta, czytanego dziś chętnie i prawdziwie oryginalnego pisarza, rysowany przez Wyczołkowskiego i początek dowcipnej powieści: „Z pamiętnika panny Hali — jej „Pa“ i „Ma.“ Treść numeru jest dość interesująca i rozmaita, okładka oryginalna, rysowana przez Jana Bukowskiego, podług motywu ze starej tapety polskiej z XVII wieku.

„Ilustracya Polska“ kosztuje 30 halerzy za każdy numer, tyle zupełnie co znana berlińska „Woche“, której oczywiście dla zależności od naszych stosunków dorównać nie może. W Niemczech wynosi prenumerata „Ilustracyi“ wprost do Krakowa (ul. Radziwiłłowska 8) 3 marki 50 fen. Racyą bytu ma podobne pismo najzupełniejszą.

Każdy zamożniejszy obywatel winien być prenumeratorem „Ilustracyi Polskiej.“

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Odezwa.** W związku z uroczystością 50-tej rocznicy, jaką w niedzielę dnia 6-go października r. b. obchodzi Towarzystwo Przemysłowe w Gnieźnie, odbędzie się w sobotę dnia 5-go października wieczorem o godzinie 8-mej na sali Domu katolickiego w Gnieźnie Walne Zebranie Delegatów Towarzystw przemysłowych, którego porządek obrad poniżej zamieszczamy. (Porządku obrad nie otrzymaliśmy. Red. „Pracy.“)

Wszystkie Towarzystwa przemysłowe oraz osoby przemysłowi życzliwe na zebranie to serdecznie zapraszamy.

Zarząd Związku Towarzystw Przemysłowych w Poznaniu.

Czypicki,
przewodniczący.

Od Redakcyi.

Panu Rych.... w Poznaniu. — Notatka nadesłana nie nadaje się do „Pracy“ — poślij ją Pan do „Bociana.“

Panu R... w Kolonii n. R. — „Idę do miasta.“ — Drugi sposób mówienia jest błędny, choć używany.

Panu dr. K. w Tucholi. — Racya — poprawimy.

P. K. Pollak — Sanok Galicya. — 4-ty egz. dostarczać będziemy za cenę 1 kor. 30 hal. kwartalnie.

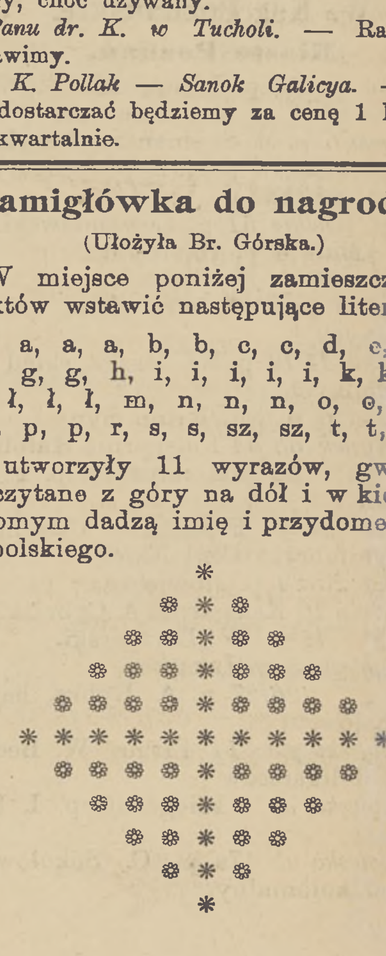
Łamigłówka do nagrody.

(Ułożyła Br. Górska.)

W miejsce poniżej zamieszczonych punktów wstawić następujące litery:

a, a, a, a, a, b, b, c, c, d, e, e, e, e, e, g, g, h, i, i, i, i, i, k, k, k, l, l, l, ł, ł, ł, m, n, n, n, o, o, o, o, ó, ó, p, p, r, s, s, sz, sz, t, t, w, y,

aby utworzyły 11 wyrazów, gwiazdki zaś czytane z góry na dół i w kierunku poziomym dadzą imię i przydomek księcia polskiego.



Znaczenie wyrazów:

1.) Spółgłoska
2.) Syn Noego
3.) Zupa
4.) Drzewo
5.) Człowiek chory
6.) Wyraz wzięty za zadanie
7.) Ptak z Filipin
8.) Roślina
9.) Posąg
10.) Opłata
11.) Samogłoska.

Rozwiązanie

Łamigłówki kryształowej zamieszczonej w nr. 36-ym:

S
W Y Z
S U R M A
R A K O J A D
S Y R O K O M L A
L A M O T T E
K O M A R
E L Z
A

SYROKOMLA.

Trafne rozwiązanie nadesłał p. Jan Kwiatkowski z Poznania i otrzymał nagrodę przez wylosowanie.

Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę t. j. książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda wyznaczoną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do 10 październ. włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Agentury
„Pracy" i Czytelni Polskiej"

W. Ks. Poznańskie.

Miasto Poznań.

Berlińska ul. 12 p. Lisiewicz.
Bismarka ul. 6 p. Mazurkiewicz.
Bramkowa 6 p. M. Szymański, destylacya.
Fryderykowska 19 p. A. Depczyńska, handel kolonialny.
Garbary Wielkie 51 p. Lewandowski.
„ *Małe 4* p. Dąbrowski.
Kopernika 10 p. K. Cichocka.
Piekary 22 p. E. Milich, skład tow. kolonialnych.
Półwiejska 11/12 p. Kl. Jeszka, skład tow. kolonialnych.
Półwiejska 6 p. Ed. Krug, Syn.
Stary Rynek 53/54 Księgarnia Katolicka.
„ „ *35* pod ratuszem p. F. Turowski.
Strzelecka 14 p. Franciszek Czternasty, portier fabryki Cegielskiego.
Strzelecka 23/24 p. Iłowiecka.
Św. Marcin 10 Księgarnia A. Cybulskiego
„ „ *41* p. W. Lamperski.
Św. Wojciech 3 p. Langner.
„ „ *26/27* p. A. Rybka, handel wiktuałów.
Wilhelmowski plac 14 Firma W. Becker, skład delikatesów.
Wilhelmowska ul. 8 księgarnia p. I. Leitgebra.
Wilhelmowska ul. 17a p. C. Sokołowska, handel kolonialny.
Wodna 1 p. Ignasiak.
„ 25 p. M. Flieger.
Wrocławska 29 p. Stefan Chociszewski, skład cygar.
Wrocławska 36 p. Szulc.
Wroniecka 6 p. Gackowski u p. Kantorowicza.
Żydowska 30 p. Wojciech Kaczmarek.

Chwaliszewo.

Chwaliszewo 1 p. Łaganowski
„ *18* p. Radomski
„ *35* p. Wybieralski
„ *67* p. Koltermann, skł. mąki
„ *69* p. Zieliński, drogerya
Wenecka 16 p. Bolesław Szczerkowski

Śródka.

Śródka rynek 1 p. Fischbach
Warszawska 5 p. Kałużny.

Jerzyce.

Berlińska 54 p. Chmielewski
„ *65* p. Lewandowski
Cesarza Fryderyka 16 p. W. Czyżykowska
„ *Wilhelma 28* p. K. Wagner
Jadwigi 14 p. K. Buchowski
„ *30* p. Śniegocki
Moltkego 22 p. Winkler
Poznańska 29 p. Mitulska
Średnia 12 p. Dolacki.

Św. Łazarz.

Głogowska 77 p. Kaczmarek
Parkowa 11 p. J. Raźny
Św. Łazarza 3 p. Ziółkowska
„ *41* p. Skowroński.

Wilda.

Małgorzaty 2 p. M. Andrzejewski.
Następcy tronu 35 p. M. Sarna, skł. wikt.
„ *99* p. J. Kamiński.
Strumykowa 1 p. Sroczyński.

Żegrze.

P. J. Sobecki, balwierz.

Na prowincyi.

Bydgoszcz, księgarnia p. L. Neumanna, ul. Fryderykowska 1.
Gniezno, p. Roman Majerowicz, ul. Trzemeszeńska.
Grodzisk, p. W. Aleksandrowicz.
Inowrocław, księgarnia p. Kompfa, ul. Fryderykowska 5.
Mogilno, p. Fr. Wiśniewski.
Ostrów, księgarnia W. Leitgebra.
Przement, p. B. Wojciechowski, organista.
Smigiel, p. A. Wojciechowski, organista.
Śrem, p. C. Wojciechowski, handel papieru.
Wągrówiec, p. Samoliński, handel cygar „Havana".
Wolsztyn, p. Roman Szczerkowski.
Września, p. Starkiewicz, handel cygar.

Prusy Zachodnie:

Czersk, p. Leon Zynda, księgarnia.
Pr. Starogard, p. Nowak, księgarnia.
Toruń, p. K. Zabłocki, księgarnia.

Górny Slązk:

Bogucice, p. Franciszek Marcol i p. Paweł Sus.
Brzeście, p. Miserau, p. Józef Lazar.
Dorota, p. Zabrze p. Michał Blachut, ul. Polna 6.
Gliwice, p. Jasiczek, księgarnia.
Godullahütte p. Morgenroth, p. Michał Bromma.
Janów, przy Mysłowicach p. A. Spiera.
Katowice, p. Antoni Stoc, księgarnia katolicka.
Królewska Huta, p. A. Komendziński, księgarnia, p. J. Mateja, ul. Puddlera 30 i p. Jan Szeja, ul. Hajduka.
Kokociniec p. Idaweiche, p. Paweł Schwedt.
Mikucice, p. Józef Sieradzon.
Mała Dąbrówka przy Katowicach, pan Franciszek Wyroda.
Opole, ekspedycya „Gazety Opolskiej"
Pyskowice, p. Feliks Orlicki
Rozbark, p. Bytom p. Glazowski, księgarnia
Rożdzień, p. Franciszek Richter w domu p. Walitza naprzeciw kościoła farnego i p. Jan Badura, ul. Bogufała 10.

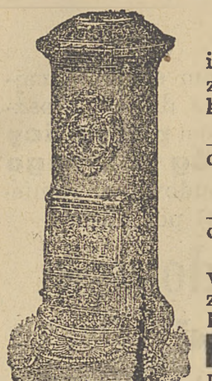
Obczyzna:

Altenessen p. Walenty Nowak, Heinrichstrasse 40|41.
Batenbrock p. Botropp, Westfalia p. Karol Kocur, Bez. III Nr. 5.
Baukau p. Herne, Westf. p. M. Wojciekiewicz, Kraugestr. 48,
Bernburg, p. Józef Spychalski, Rosinenberg;
Bochum, Westf. p. Ignacy Kwaśniewski, Friedrichplatz 2.
Botropp, Westf., p. Ludwik Procek.
Bremena p. Jan Marcinczak, Stefensweg 98 II.
Bruch p. Recklinghausen, p. Ludwik Kubiaczyk, Marienstr. 346 przy kościele katolickim.
Dellwig p. Jan Swoboda, Rollstr. 10.
Habinghorst przy Dortmundzie, p. Marcin Jarczyński, ul. Fryderykowska 10.
Hörde II., p. Antoni Strojnowski, Bickernst. 18.
Lüssum p. Blumenthal, i. H. p. A. Kotowski.
Ueckendorf (Westfalia), p. Stanisław Kunz Bochumerstr. 40.
Misburg przy Hanowerze, p. Michał Maciejewski Nr. 114.
Neumühl Nadrenia, p. Franciszek Rostkowski Bergmannstr. 11 a.
Wanne, Westfalia, p. Franciszek Mańkowski, Bahnhofstr. 98.

Galicya.

Biała, pp. Kubaczka & Lang, księgarnia.
Kraków, księgarnia p. D. Friedleina i p. S. A. Krzyżanowskiego.
Rzeszów, p. J. A. Pelar, księgarnia.
Sanok, p. K. Pollak, księgarnia.
Stanisławów, p. Jasielski & Sp.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" Wincenty Szmytkowski.



Piece

iryjskie do każdego paliwa z ogniem nieustaj. bardzo praktyczne **częściowo niklowane**

No. 1	2	3	4	
ogrz. 50	75	100	125	kbm.
M. 20	25	30	36	za szt.
No. 5	6	7	8	
ogrz. 150	200	300	400	kbm.
M. 42	47	58	67	za szt.

włącznie 2 rur, 2 kolan i rozety niklowanej franko do każdej stacyi kolejowej.

Hansena

piece patentowane z ogniem nieustającym do koksu i antracytu poleca

T. Otmianowski,

Poznań — Bazar — Telefon 565.

Cenniki darmo i franko. 650

Nowość! Nowość! Nowość!

Piece do ogrzewania naftą niewydające zapachu.

Zaproszenie do przedpłaty na

„Ziemianina."

„Ziemianin" Tygodnik rolniczo-przemysłowy, organ Centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, wychodzi co sobotę w Poznaniu, w formacie wielkiego 1—$1^1/_2$ arkusza, często z rycinami.

Przy **„Ziemianinie"** wychodzą trzy **bezpłatne** dodatki: 1) Rocznik Centr. Towarz. Gosp., zawierający **wszystkie** rozprawy i wykłady wygłoszone na Walnem Zebraniu. 2) **„Przegląd gorzelniczy"** pismo miesięczne. 3) **„Ogród jako źródło dochodu."**

„Ziemianin" kosztuje na pocztach w Niemczech 3 mk. Cena zniżona dla urzędników gospodarczych i niezamożnych gospodarzy wynosi kwartalnie **1 mk. 90 fen.,** półrocznie **3 mk. 80 fen.,** którą wprost do Redakcyi **w Poznaniu, Półwiejska ul. 5, I** przesyłać należy. Za zniżoną cenę nie można na poczcie zapisywać.

Redakcya „Ziemianina" w Poznaniu
Półwiejska ul. 5, I piętro.

W mieście pow., około 6000 mieszkańców, jest

skład bławatny

w najlepszem miejscu w rynku od zaraz pod bardzo korzystnemi warunkami do nabycia. Okolica jest polska, a niema ani jednego polskiego składu tej branży. Bliższych wiadomości udzieli ekspedycya „Pracy" pod lit. **N. K. nr. 684.**

Handel kolonialny i cygar

z sprzedażą alkoholów w flaszkach

w najlepszem położeniu, narożnik najgłówniejszej ulicy przyłączonej dzielnicy Poznania pod bardzo korzystnemi warunkami z powodu śmierci od ile możności zaraz do objęcia.

Oferty uprasza się pod lit. F. S. do ekspedycyi „Pracy" w Poznaniu.

W celu powiększenia bardzo korzystnego interesu poszukuje się

spólnika

z kapitałem 10 do 15 tys. mk., egzystencya pewna, znajomość fachowa nie potrzebna.

Zgłoszenia przyjmuje Eksp. „Pracy" pod **nr. 689.** 689

Do mego interesu zegarmistrzowskiego włącznie instrum. muzykalnych znajdującego się w najlepszem miejscu większego miasta powiatowego, gdzie jest gimnazyum i kolej poszukuje się celem powiększenia takowego

spólnika

z kapitałem 3000 marek. Interes prowadzi się dłuższe lata z bardzo dobrem powodzeniem.

Łaskawe zgłoszenia uprasza się pod nr. 696 do Ekspedycyi „Pracy". 696

Tanie książki!

Asem 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 236

W. Fiałek w Chełmnie
(Culm W/Pr.)

Pisanie maszyną, stenografia, buchalterya.

Wstęp każd. czasu — na prowincye polecam moją t. z. **listową buchalteryą.**

Prospekt **gratis** — (nowy kurs 2. 10. r. b.) 590

F. Mellin,

naucz. hand. W. Garb. 14 I.

Zdolny personał do kantoru polecam WPP. każd. czasu.

Farbiarnia i chemiczna pralnia Dr. A. Seydy

(dawn. Gustaw Schaer) w Poznaniu.

Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.

Skład św. Marcin 14, poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

MIKOŁAJCZAKA instytut nauki tańca.

(Sala Sterna).

Kursa nowe rozpoczynam rokrocznie 1-go Października i Stycznia. Lekcye prywatne w każdym czasie. 619

Zgłoszenia przyjmuję w mieszkaniu **św. Wojciech nr. 3** II p.

Poszukuję

destylacyi

lub składu kolonialnego z wyszynkiem,

niewykluczając większej wsi, z podaniem obrotu rocznego i ceny kupna, albo możnaby się w takowy ewentualnie później ożenić.

Łaskawe oferty uprasza się pod lit. B. W. Poste Restante **Ostrowo i. Posen.** 697

Niesłychanie!!!

330 sztuk tylko za 3,50 mk.

Piękny zegarek pozłacany z 3 letnią gwarancyą z piękn. łańcuszkiem, $^1/_4$ tuzina dobrych chustek, torebka skórzana do pieniędzy, garnitur guzików double do mankiet i koszul, piękna cygarówka, niklowy odkrajacz do cygar, piękny album, pierścionek z imit. kamieniem dla panów, 36 sztuk japońskich kwiatów, śpilka do krawaty z bryl. simil. bardzo uładzająca, 5 sztuk kart z widokami wiedeńskich bardzo interesujące, 5 sztuk wyrocznie egipskich wróżbiarzy, (bardzo interesujące) lustro toaletowe kieszonk., 20 sztuk przedmiotów do koresp. i 250 sztuk różnych innych drobiazgów dla gospodyń gratis. Wszystkie te przepyszne 330 sztuk z zegarkiem, który sam już wart jest te pieniądze, kosztuje razem 3,50 mk. przez zaliczkę pocztową, nabyć można tylko w krótkim czasie z domu towarowego 644

P. Lust, Kraków, Krakau nr. L 1/8.

Niepodobające się, pieniądze z powrotem.

Dom

mój, położony w **Żerkowie,** przy kościelnej ulicy, kwalifikujący się dla rzeźnika lub piekarza, do tego ogród, 5 morgów roli i 2 morgi łąki, mam zamiar zaraz sprzedać. Zgłoszenia przyjmuje

Kwapiszewski,

687 dzierżawca probostwa w Krotoszynie.

Kupiec,

kawaler, 28 lat, przystojny, dobrego usposobienia, mając własnego kapitału 3000 marek, obecnie w stałem miejscu jako zawiadowca interesu bławatnego z pensyą miesięczną 200 marek, poszukuje dla braku znajomości

towarzyszki życia.

Panienki do 25 lat, skromnie wychowane z porządnej familii z majątkiem od 4—6 tysięcy marek gotówki, zechcą łaskawie swe oferty z fotografią ze zaufaniem nadesłać do eksp. „Pracy" pod lit. H. nr. 663. Ścisła dyskr. rzecz honorowa. Anonimów się nie uwzględnia. 663

Jako **najlepszą książkę do gotowania** p. t.

Kuchnia polska

w oprawie 2,50 mr.

franko za tom za nadesłaniem należytości (w znaczkach poczt.) wysyła 504

Ernst Lambeck Thorn.

Tanio do nabycia:

2 *Młockarnie* 18 i 20 cali szerokie, jedna kołcowa, druga cepowa. 643

2 *parowniki* do przewracania.

2 *Tryery* z cylindrami niżej ceny fabrycznej.

Zgłosz. do **J. Popławskiego,** św. Marcin 64. Skład maszyn do szycia i welocypedów.

Gimnazyastów

przyjmuje na stancyą pod nader korzystnemi warunkami. Blisko gimnazyum.

Kamieński,

ulica Bramkowa nr. 9

parter.

Młoda, przystojna uzdolniona muzykalna

panienka

pragnęłaby zawrzeć znajomość z zamożnym panem w dojrzałym wieku, któryby się przyjaźnie zajął kierunkiem jej życia. W danym razie ev. małżeństwo. Łaskawe zgłoszenia Poste restante **Poznań W. 3 B. R.** Anonimów nie uwzględniam. 700

Poszukuję od zaraz lub później biegłej

buchalterki

obeznanej z prowadzeniem dubeltowej buchalteryi

C. Nagórski.

Centralna drogerya,
Pr. Stargard. 670

Kram

z przyległem pomieszkaniem przy rynku **w Kruszwicy,** bardzo odpowiedni dla zegarmistrza, któryby tutaj dobrą egzystencyą znalazł, jak i do innego interesu zdatny, jest od każdego czasu do wynajęcia. 692

Helena Dankowska.

Zakład

pracy domowej

w Śremie (Schrimm)

rozpoczyna nowy kurs 23-go października.

Prospekt na życzenie przesełа 698

F. Szczerbińska,
przełożona.

Poszukuje się od zaraz

dzierżawy

lep. handlu kolon., łak. lub cygar

w Poznaniu, albo na prowincyi. Szczegółowe oferty uprasza się pod lit. A. Z. 699 do eksped. „Pracy". 699

Kap. zakł. M. 3000000

Bank Ziemski

Kap. zakł. M. 3000000

w Poznaniu,

ulica Wiktoryi nr. 2

przyjmuje na procent wkładki i oszczędności od 100 mk. począwszy i płaci za 3-miesięcznem wypowiedzeniem 4%
„ 6-tygodniowem „ 3½%.

Przesyłki pocztą adresować należy tylko: 501

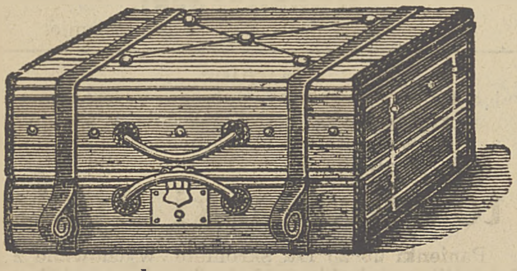
Bank Ziemski — Posen.

Telefon Nr. 1179. **Telefon Nr. 1179.**

Interes specyalny towarów skórzanych do podróży i siodeł.

Nikodem Wolniewicz, Bazar.

Nowym odbiorcom na liczne zapytania w miejsce odpowiedzi przez germanizującą pocztę donoszę, iż te dobre **kufry fałdowe** z brązowego żaglowego płótna, żółto obsadzone, kosztują 704



Siodła od 24 marek.

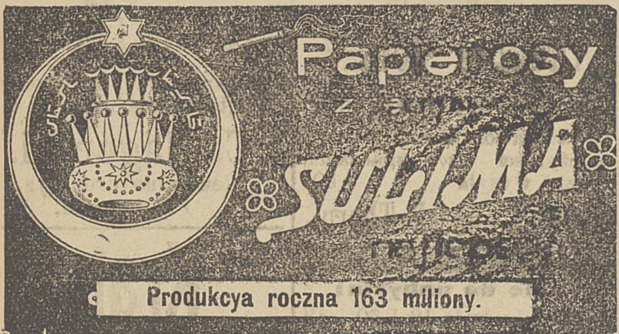
Torby, kleszenie puzdra i portm.

dł.	szer.	wysok.	rozszerzone			
50	31	20	31	12	z narożnikami mk.	14
55	33	22	33	14	prima zamkiem „	16
60	36	24	35	16	2 kieszeni i pa- „	18
65	39	26	38	18	sy w środku, „	20

Te same bez fałd 3 mk. taniej.



M. Dzień dobry sąsiedzie.
S. A, witam, witam.
M. Czy idziesz na przechadzkę co?
S. Nie! ale do **Białasa** przy Wrocławskiej ul. 2 kupić sobie zegarek.
M. To pójdziemy razem, bo ja sobie kupię okulary i kolczyki dla córki.
S. Mówią, że tylko od **Białasa** zegarki dobrze chodzą.
M. Cenniki illustrowane wysyła p. **Białas** na prowincyę darmo i franco.
S. To też podam adres do mego znajomego, może co sobie od **Białasa** każe przysłać. 675



Jedyna jeneralna agentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu.

Cygara w największym wyborze.



Wyjaśnienie!!!

Mimo używania różnych środków nie mam wąsa — mówi niejeden; proszę, użyj Pan po raz ostatni jeszcze mego środka wzmacniającego porost wąsa **„Adoris"** po 3 mk. 50 fen. Nie chcesz Pan od razu mi zaufać, to przeszlę Mu **małą próbę** celem przekonania Go o skuteczności środka za 60 fen. i 20 fen. na porto — za zaliczką 1 markę. Nabyć można tylko u firmy 694

Robert Husberg,
Neuenrade nr. 28. Westf.

Dobre mydło

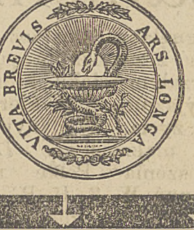
kupuje się w fabryce 42

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Piegi usuwa i konserwuje płeć
hygieniczne mydełko lanolinowe.
Premiowane na wystawie
Przyrodniczo-lekarskiej w Krakowie.



Premiow.
w Krakowie
1900
na wystawie
Przyrodniczo-lekarskiej.



Lekcyi

języków, korepetycyi, i muzyki udziela po cenach przystępnych w domu i poza domem nauczycielka wyższa, Polka, która złożyła z odznaczeniem egzamin rządowy.

Bliższe szczegóły wskaże ekspedycya „Pracy" pod znakiem **„Nauka."**

P. P.

Niniejszem pozwalam sobie jak najuprzejmiej donieść, iż z dniem 1 października r. b. otworzyłem **przy ulicy Żydowskiej i róg Starego Rynku** (w nowo pobudowanej kamienicy p. R. Petersdorffa) pod firmą

L. Lewandowski

skład

tow. kolonialnych,

mąki, krupów i warzywa.

Polecając to moje nowe przedsiębiorstwo łaskawemu poparciu Szan. Publiczności, przyrzekam, że usilnem mojem staraniem będzie zawsze przez dobre i tanie obsłużenie na łaskawe względy Szan. Publiczności stale zasługiwać.

Z szacunkiem

701 **Leon Lewandowski.**

W. Cichowicz



w Przemencie (Priment Kr. Bomst)

poleca swój bogato zaopatrzony skład w najrozmaitsze zegarki, zegary, budziki, łańcuszki, oraz srebrną i złotą biżuteryę. Srebrne zegarki męskie na 6 kam. 10 do 20 mk., na 10 kam. remont. lub klucz. 12 do 30 mk., złote 45 do 350 mk., damskie złote od 18 do 200 mk., srebrne od 12 do 30 mk.

Specyalność zegarki narodowe.

Bogato illustrowane cenniki

darmo i franko. 536

Jedyny polski fachowy

zegarmistrzowski dom wysyłkowy i warsztat reparacyjny na całą okolicę *Przementu.*

Modernizm więzienny.

Sędzia: — Czy świadek znajduje się w jakim związku pokrewieństwa z obwinionym o morderstwo i grabież Iksem?

Świadek: — Tylko w duchowym, panie sędzio.

Karol May.

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu,

ul. Wilhelmowska nr. 21. naprzeciw hotelu francuzkiego

poleca po cenach umiarkowanych wielki wybór obuwia począwszy już od najmniejszych różnego rodzaju i w różnych odmianach.

Sudoral!! bardzo skuteczny środek na pocące się nogi. Zestawiony przez aptekarza Petersa w Dreznie. Fl. 1 markę, przepis gratis.

Sudoral!! nie gubi potu. lecz usuwa na pewien czas zkąd zawsze suche i zdrowe nogi.

Specyalność!!

buty długie, kanony dla Wgo Duchowieństwa, buty do polowania i gospodarstwa.

Wszelkie zamówienia wykonuje spiesznie i akuratnie, usługa rzetelna. 49